№ 14. Warszawa, dnia 24 Marca (5 Kwietnia) 1879 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Treść Numeru: Z obrazów Alpejskich (wiersz). — Flaminia (dalszy ciąg). — Na wyspie (dalszy ciąg). — Kronika paryzka (dalszy ciąg). — Przegląd literacki. — Korespondencya z Paryża. **W dodatku** Przysięga lady Adelajdy przez mistress Henry Wood przekład z Angielskiego (dalszy ciąg).

Z OBRAZÓW ALPEJSKICH.

(Mont-Blanc).

Góra, to oko ziemi utkwione w obłoki;
To wielki duch natury, olbrzymiemi kroki
Dążący ku lazurom, za chmury, daleko,
Odetchnąć eterami, spłynąć świateł rzeką.
Mozoleum przeszłości, płód przewrotów ziemi,
Świetna baszta z sztandary w głębi ukrytemi,
Na których gradusami data epok siedzi.
Stoi ona posągiem niemym dla gawiedzi,
Lecz dla wzroku badacza, skarbnicą dziejową,
Brzemienną zgrają stworów tą przedpotopową.
Nad nią hasają chmury, falują obłoki,
Tu jéj liczą pokłady, tam ciągną z niéj soki,
A ona jednym wnętrze, drugim dając czoło,
Strzela śmiałemi kręgi w firmamentu koło,
I urąga milcząca ludziom i naturze,
I swoją nagą czaszką gnie, rozbija burze:
Toż gromy ją szanują i ludzie szanują,
Bo tylko z boku szarpną, tu, owdzie, nadpsują;
Lecz nie śmieją naruszyć jéj hardéj łysiny,
Kędy zegar stuleci wybija godziny.
O mądra ta łysina skalista, a dawna!
W niéj jak w mędrcu myśl żyje, wiekami uprawna,
Bo góra ziemi tłomacz, jéj w przeszłość posłaniec,
Życia całéj przyrody niezgasły kaganiec!
Toż w górach świat odmienny, raźniejszy, czujniejszy,
I siłą wielmożniejszy i duchem dzielniejszy:
Tam wszystko wśród wielkości i grozy spoczywa,
Równie władzca przyrody, jak muszka płochliwa.
I niebiosy tam inne i słońce i wiatry...
Wstąpmy na Alp wyżyny, wzrok zapuśćmy w Tatry.
Jakie słońcá tam świetne—zda się, król na tronie!
Jakie wiatry tam dzikie—zda się, zemsty dłonie!
Jakiemi barwy strojne lazurów sklepienie,
Jak kamienne tam cisze, jak głośne kamienie.
I dumniejszy tam człowiek i dumniejsze zwierzę,
To i tamten z naturą trzymając przymierze,
Dziką, silną, pogromczą, wspaniałą, swobodną,
Wyrabia w sobie siłę podziwienia godną.
Góral, to zda się orzeł ludzkiego rodzaju
Z swéj odwagi, dzielności, dumy, obyczaju,
Od orła swoim chęciom on lotu użycza,
Orła hartem swe trudy i znoje oblicza,
I ścieżkę nad przepaścią i na morzu lodnem,
Orlem mierzy wejrzeniem spokojnem a chłodnem.

Niby tron dawnych władzców, co trzęśli ludami,
Niby wojsko cyklopów z groźnemi tarczami,
Niby zastęp tytanów z wzniesionemi głowy,
Stoi olbrzym alpejski setnoramionowy,
Chowając przed Europą sine morza oko,
Co toczy po śródziemiu zrzenicą szeroką.
Nad morzem urodzony, tam swój tron założył,
Roześmiał się niewzruszenie i wzrok swój nasrożył,
Dając mu za powiekę czarnéj chmury brzemię,
A gromów dyademem zdobiąc sobie ciemię,
I rozsadziwszy oto swe kościste boki,
Posuwa nierównemi, dziwacznemi kroki
W górę, w prawo i w lewo, każdy wypoczynek
Cechując innym znakiem, światu w upominek.
Krocząc morskiem wybrzeżem, skręcony wężowo,
W głąb lądu, to w wód głębie utykając głową,
Silnym rzutem dostaje mórz dwojga krainy,
Gdzie głową sławna Roma, gdzie kwitły Latyny,
I bieży środkiem kraju, bez chwili wytchnienia,
Aż ognisty dech wyprze z płuc i podniebienia.
Na zachód ziemi sporo, nie masz z wód przyrody,
Więc innemi wybuchy hulaczéj swobody
Rozpoczyna i znaczy pochód swój monarszy.
Na tysiączne wólkniska członki swe porwawszy,
Rzuca się w różne strony, to kręgi związując,
To się czając, to znowu w górę odskakując,
To zwijając jeziora, to się tłocząc w rzeki,
Romanom to Germanom zwierając powieki,
Gubi zachodnie szlaki, znów na wschód się składa,
I w objęcia Słowianom ostatecznie pada.
Olbrzym ten przeżył ludy, których wziął imiona,
Przerzucił tłumy wrogów przez swoje ramiona,
Wziął daninę z bram wieków, ze krwi Hannibali,
I nie ugiął przed nikim przyłbicy ze stali.
I dotąd jego władztwo tysiąc potęg kryje,
I dotąd z jego bezdni Ren swe nurty wije,
I dotąd mu na barkach siedzi góra Biała,
Macierz gór Europejskich, olbrzymia, wspaniała.

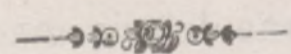
Ze wnętrza gór pennińskich, w gwiazd krańce, za chmury,
Kroczy to sławne dziecię macierzy natury,
Biała góra. Nad poziom morza wyniesiona
Na pięć niemal tysięcy metrów, stoi ona
Wśród sosen i modrzewi, na opok podnożu,
Kąpiąc biały swój warkocz w lazurowem morzu.
Okryta śnieżną szatą, nieskażonej bieli,
Władczyni górskich szczytów, wejrzenie swe dzieli
Między niebem a ziemią, raz brylanty siejąc,
To znowu pod mglistemi całuny drętwiejąc.
Boki jéj uściełiły lodów oceany,
Mając szlak iglastemi bory haftowany;
Tam tańczą uragany, piorun lica krwawi,
I lawina swe baszty ludobójcze stawi.
Żadne źródło w jéj skrzepłym nie szumi cyplisku,
Tylko źródło zniszczenia w lodowców łożysku
W większéj części ją śniegi i granity kryją,
Lody jéj kują pancerz, a mgły togi szyją.

Zachód słońca roznieca tysiące pochodni
W dyademie mocarza i tyleż blask wschodni;
Wtenczas się on podnosi, z śnieżystéj obłoczy
I iskier błyskawice rzuca światu w oczy,
Jak ołtarz w uroczyste znamiona przybrany,
Zkąd wieje duch tajemnic, grozą ożegnany.

I natura i człowiek, roślina i zwierzę,
Wszystko klęka w pomroczu, wyszeptać pacierze
Zdumienia u stóp znicza, co groby i cienie
Zamienia w wulkanicznych wybuchów płomienie.
Rozpierzchłe wokół bryły—lodowe, kamienne—
I urwiska ponure i mchy na pół senne,
Długiém przeciągłém echem szepty swoje ciche
Toczą po strunach mroku aż pod lawin strzechę,
A w takt ich rozhoworu róg pasterza płynie,
Wiodącego swe trzody zwolna ku dolinie,
I śpiew młodéj góralki przed progiem szałetu,
Tęskną dumką goniącéj dźwięk górskiego fletu.

W każdym góry zakącie—na szczytach, w nizinie,
Zdrój zachwytu, zdrój czarów i zdumienia płynie.
Tu na słupach gnejsowych pomosty ze śniegu,
Owdzie z lodów pałace, tam morza bez brzegu,
Z mchów odwiecznych kotary, z spadu wód stru-[mienie,
Tuż otchłań swe bezdenne rozwiera wejrzenie
I chropoty grobowe dobywa ze krtani...
Świat grobów i świat duchów, obszar bez przystani,
Groźna, ponura zima, wiosna, jesień, lato,
Niwa w kłosach przy chacie, dach z lodu nad chatą,
Doliny jak marzenia, puszcz odwiecznych szumy,
Rajskie życie osiadłe, kresowników tłumy,
To wszystko tam się splata w jednym wielkim [wianku,
Żeby zdumieć wędrowca na kręgach Montblanc'u.
Z strony włoskiéj szczyt góry niedostępny wcale,
Tam jeno skały, bezdnie i lodowisk fale;
Z Sabaudyi nań schody, w Chamouny dolinie,
Co przez trzy ćwierci roku ma zimę w gościnie;
Tam przybysz chciwy wrażeń i z cyplów widoku,
Zbiera się zwykle tłumnie w pięknych porach roku,
I po śladach, co Balmat zostawił na Białéj,
Idzie chwycić etery w swe płuca spotniałe,
Z jéj szczytu, a rozwitą lunetą w przestworze,
Dosięgnąć Langres, Lyon i Śródziemia morze.

Romania Kamieńska



FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Jakże myślić o rozkoszach takiego nieba, jeżeli tu ciągle z rozbiciem walczyć trzeba, jeżeli wszystkie siły swoje trzeba włożyć w tę walkę, która prócz tego wcale jeszcze nie obiecuje pewnego zwycięztwa! Jakże narazić kochającą kobietę na niepewne losy takiéj walki, która może się skończyć bolesną klęską?...

Myśli takie poważne przychodziły często Maryanowi do głowy, ale obok tych myśli wciskały się bardzo zręcznie rozkoszne marzenia, które słodziły jego smutne położenie. Używał czasem téj osłody dla pokrzepienia się, ale w miarę używania czuł coraz większe pragnienie...

Dzisiaj, przy polepszonéj nieco sytuacyi, przy lepszych i pogodniejszych nadziejach, zwiększało się także pragnienie szczęścia, do którego każdy ma prawo. A kwestya ta prawnicza przychodziła mu coraz częściéj do głowy, coraz jaśniéj wysuwały się przed nim paragrafy téj kwestyi, ubrane w bujne zwoje włosów i patrzące figlarnie na niego świecącemi oczami...

I stało się pewnego dnia, gdy właśnie Maryan ową kwestyą prawniczą trochę dłużéj niżeli zwykle się zajmował, nadszedł z Wenecyi list od Elizy.

List był zwykły, podobny do każdego innego listu Elizy. Miał bardzo przyzwoity kwadratowy format i elegancki monogram zamiast pieczątki. W adresie nie było także nic nadzwyczajnego. Te same zakrętasy, jakiemi zwykła Eliza zdobić pismo swoje, rozciągały się od jednego brzegu do drugiego. Zgoła nic osobliwego. A przecież zdawało się Maryanowi, że ten list coś mu przyniesie Nie obawiał się rachunku, bo ten załatwiony już był przed tygodniem, więc cały miesiąc miał spokoju przed sobą. Żadnéj innéj smutnéj wieści nie mógł także ten list przynieść. Pismo na adresie było wesołe, a nawet niezwykle figlarne. Widać że Eliza pisała go w dobrym humorze, widać że zakręcając misternie te literki miała figlarny uśmiech na twarzy!...

Takie wrażenie sprawił na Maryanie ten list z Wenecyi. Rozciął kopertę i jeszcze przed treścią listu zapoznał się z jakąś wyszukaną perfumą, co również jego domysły potwierdzały. Eliza tylko wyjątkowo używała pachnącego papieru, o czem brat doskonale wiedział.

Rozwinął papier i czytał:

— Drogi bracie! Dotychczasowo listy moje nie zawsze były dla ciebie przyjemne. Jedne zawierały cyfry nieznośne, drugie odnosiły się do rzeczy pięknych ale martwych. Czytałeś w nich moje wrażenia na widok uroczego miasta, które jest jedyne na całym świecie, ale to co podziwiałam, co mnie wzruszało, było marmurem lub wodą! Pozwól więc, że dzisiaj podzielę się z tobą innem wrażeniem.

Gdybym była mężczyzną zamknęłabym jak skąpiec wrażenie moje w głębi duszy, postarałabym się, aby przedmiot tego wrażenia pozostał przy mnie aż do końca życia. Jako kobieta mogę tylko mieć tę przyjemność, że wrażeniem mojem z tobą się podzielę.

Od niejakiego czasu uderzyła mnie całą swoją postacią pewna młoda kobieta, która w swoim rodzaju wydała mi się fenomenalną. Wyobraź sobie słuszną, wysmukłą postać, tak zręczną i gibką w swoich ruchach, jakby nie była z ciała ale z mgły jakiejś cała utworzona. Kobieta ta nie jest pięknością klasyczną, ale w twarzy jéj, w spojrzeniach i uśmiechu, jest tyle uroku, tyle jakiejś słodyczy i łagodności, że oczu nie można od niéj oderwać. Ma włosy złotego koloru, podobne do promieni zachodzącego słońca. Przy tem cerę olśniewającéj białości. A co w takim razie jest niezwykłą rzadkością, oczy ciemno szafirowe, które czasem przy silniejszych wrażeniach zmieniają się w barwę fijołkową. Głosu nie opiszę ci wcale, bo trzeba go słyszyć. Pierwsze wrażenie na mnie sprawił jéj głos. Usłyszałam ją w tłumie mówiącą, ale osoby nie widziałam. Odtąd przez cały prawie tydzień brzmiał mi w uszach ten głos i nie dawał mi spokoju. Coś nadzwyczaj sympatycznego było w tym głosie, coś co uderzało w najgłębsze struny duszy... Szczerze ci powiadam że byłam prawie zakochana, nie znając, nie widząc jeszcze osoby!

Drugi raz poznałam ją z osoby, chociaż nie wiedziałam, że ta sama, któréj głos zasłyszany brzmiał mi w uszach ustawicznie. Wtedy bowiem nic nie mówiła, tylko karmiła gołąbki św. Marka, jak tu te biedne ptaszęta gnieżdżące się śród kolumn, posągów i wież tutejszéj katedry nazywają. Jak cudownie wyglądała wtedy! Biedne ptaszęta siadały jéj na ramiona, na rękach, na białym styryjskim kapelusiku! Istna Zosia z Tadeusza!...

Dzisiaj, jest ona moją serdeczną przyjaciółką, poznałyśmy się w jednym z tutejszych kościołów... W drugim liście powiem ci do jakiéj należy narodowości. Bądź cierpliwy i daruj twojéj szczerze życzliwéj ci siostrze, jeżeli w przystępie dobrego humoru tak list swój kończy. Chcę próbować mego talentu pisarskiego! Twoja siostra Eliza.

Jeżeli pierwsze ustępy tego listu były dla Maryana dosyć ciekawe, zakończenie jednak nie było takie jakiego sobie życzył. Zakończenie to groziło mu pewnem rozczarowaniem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie była to Polka. Najprędzéj mogła być Angielka. Cóż mu w takim razie zależało na tem, że Eliza zaprzyjaźniła się z jakąś piękną Angielką? Nie miał on w tem żadnego interesu, bo zdawało mu się, że kobieta którą mógłby się bliżéj zainteresować, musi być Polką.

Złożył więc list spokojnie i odszedł do swego zatrudnienia. A załatwiwszy się z niemi i przeczytawszy najświeższy dziennik chciał już udać się na spoczynek, gdy na biurku ujrzał porzuconą Elizy kopertę. Przypomniał sobie znowu o liście i jeszcze raz wziął go do ręki. Odczytał go z uwagą i zatrzymał się przy opisie nowéj przyjaciółki Elizy. Chciał sobie wyobrazić jak ona w rzeczywistości wyglądać może i zawołał do pomocy owe gołąbki ś. Marka, które na jego rozkaz otoczyły piękną, jasnowłosą kobietę, tak jak ją Eliza opisała a wyobraźnia jego odtworzyła.

Patrzał czas niejaki na ten miły obrazek, który przed oczami jego duszy coraz więcéj się ożywiał, ale odwrócił się od niego obojętnie, gdy sobie przypomniał, że to zapewne jest cudzoziemka.

— Szkoda że to nie Polka! pomyślał sobie i zagasił lampę, aby zasnąć.

Maryan spał tym razem dosyć spokojnie, ale nad nim tworzyły się jakieś dziwne mgliste widma, które były oznaką, że od tego listu Elizy poczyna się dla niego jakiś nowy chociaż w dalekiéj mgle gubiącéj się jeszcze epizod życia!...

Od tego bowiem listu rozpoczął się szereg innych z Wenecyi pisanych listów, które tutaj w chronologicznym porządku następują.

XIII.

Wenecya 20 października.

— Nie staje mi talentu, abym dłużéj twoją ciekawość przeciągać miała. Otóż odrazu powiadam ci, że moja nowa przyjaciółka, z którą formalnie romans prowadzę, nie jest wcale cudzoziemką. Urodziła się między Lwowem a Krakowem, rodziców nie ma tylko babunię, schorzałą staruszkę, która w braku lepszych krewnych zapisuje jéj całą dosyć znaczną fortunę swoją. Nie piszę ci tego, abym jakąwagę do podobnych wiadomości przywiązywała, ale w zwykłem życiu poprzedzają one każdą nową znajomość. Zawsze człowiek potrzebuje pewnego tła, a bez niego wygląda jak chińskie malowidło. Po tym więc wstępie do dalszych moich listów dodaje tylko, że moja przyjaciółka nazywa się Flaminia, i że niezwykłe jéj imie wiąże się z jakąś familijną tajemnicą, któréj dotąd jeszcze nie zbadałam. Być może że w dalszych listach będę ci mogła to wyjaśnić, dzisiaj zaś na tem kończę, że ją coraz więcéj kocham, że z każdą prawie chwilą wynajduje w niéj coraz więcéj pięknych i szlachetnych przymiotów. Chciałabym abyś ją kiedy poznał. Znam twój gust i wiem, że bardzo byłbyś zadowolony takiem niepowszedniem zjawiskiem. Żegnam cię.

Wenecya 22 października.

— Wczoraj była Flaminia u mnie. Rodziców nie było w domu. Usiadłyśmy obie na balkonie, zkąd prześliczny jest widok na morze. Jest coś w tem powietrzu, w tych obrazach czarodziejskich, które się oczom naszym przedstawiają, że serce jakoś szerzéj się otwiera i że mimowoli o tem sercu

mówić trzeba. Nienapróżno napisał jeden z młodszych poetów:

Gdy się uczyć, tylko w Grecyi,
Jeżli kochać, to w Wenecyi!...

Jest w tem prawda, przynajmniej co do drugiego wiersza. Jeżeli się samemu nie kocha (co właśnie do mnie zastosować można) to przynajmniéj mówi się o miłości. Tak też stało się z nami. Po długich kołowaniach musiałyśmy zejść na ten przedmiot. Zapytałam Flaminię, czy kiedy kochała? Ciemny rumieniec okrył jéj twarz bladą. Rzekła do mnie: Nie zaznałam tego uczucia i bardzo go się lękam. W ogóle serce moje nie mogło dotąd oddać ludziom tego uczucia, które Bóg tam wkłada jako posag każdego człowieka. Rodziców nie mogłam ukochać, bo ich wcale nie znałam, a uczucia dla innych ludzi, którym winnam była wdzięczność, niewyrównywają nigdy według mego zdania uczuciom dziecka dla rodziców swoich. Zdaje mi się, że tylko miłość w ostatecznym razie może serce rozgrzać do tej upragnionéj temperatury, jakiéj w życiu jeszcze nie zaznałam. Otóż obawiam się téj chwili, w któréj taką temperaturę serca poczuję, bo znam serce moje. Wiem że ono może mi dać wtedy szczęście o którem nie każda kobieta ma wyobrażenie, wiem że i temu, który takie uczucie w sercu mojem zbudzi, mogę dać szczęście niezwykłe, ale jeżeli w uczuciach moich zostanę nieszczęśliwą, to nieszczęście moje wtedy bez miary, będzie takiem nieszczęściem, jakiego może nie doznała żadna na świecie kobieta!... Czuję bowiem że moje serce doszłoby do wysokiéj temperatury, a gdyby odpowiedniéj nie znalazło, mogłoby pęknąć!...

A co, czy nie ciekawa kobieta?... Bądź zdrów.

Wenecya 24 t. m.

Dzisiaj rano przyszła Flaminia. Właśnie ubierałam się. Flaminia przeglądała tymczasem moje album, które w salonie na stoliku leżało. Nagle przyszła do mnie z księgą w ręku a twarz jéj wyrażała niezwykłe wzruszenie. Wskazała ręką na jedną z fotografii i zapytała: Proszę cię, kto to jest? Odpowiedziałam z uśmiechem że to jeden z moich znajomych. Zaczęła się w fotografią długo wpatrywać. Nie mogła oczu od niéj oderwać. Zapytałam dla czego to czyni. Odpowiedziała, że ta twarz jest jéj gdzieś znana, że gdzieś ją widziała, ale że dobrze nie może sobie przypomnieć. Roześmiałam się i odrzekłam:

— Zapewne przyśnił ci się kiedy podobny mężczyzna, a teraz chcesz go znaleźć na jawie!

— Być może! z uśmiechem odpowiedziała, ale twarz jéj zarumieniła się, jakbym ją schwytała na gorącym uczynku.

I cóż na to powiesz szczęśliwy człowieku, jeżeli się dowiesz, że ta fotografia była... twoją fotografią?... Żegnam cię do jutra!

(*d. c. n.*)

NA WYSPIE.

NOWELLA
Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Miejscem tych rozmów była najczęściéj altana ulubiony kącik Heddy, do którego nazajutrz po przybyciu z pewną uroczystością zaprowadziła swojego gościa. Altana leżała na ostatnim krańcu wschodniéj strony wyspy: tam gdzie jodły na samym brzegu rosły, był to najwyższy punkt wysepki wzniesiony na dwadzieścia kilka stóp po nad poziom morza, i prawie nad nim prostopadły. Miejsce to było czworobokiem z trzech stron ochronionym od wiatrów iglastemi drzewami, a z czwartéj otwartym na morze. Dach tworzyło rozpięte płótno, a urządzenie wewnętrzne składało się z drewnianych ławeczek i niewielkiego stoliczka. To miejsce jakby umyślnie stworzone do marzeń i czytania; powiedział Paweł gdy je po raz pierwszy zobaczył. To właśnie, głównem jest jego przeznaczeniem, odparła Hedda a będzie mi bardzo przyjemnie jeżeli w tych miłych zajęciach, pan mi towarzyszyć zechce.

Często o rannéj dnia godzinie, gdy słońce letnie zaledwie wyłoniwszy się z morza na biały piasek mowybrzeża, rzucało długie cienie przechodniów, można było spotkać tych dwoje młodych żywą zajętych rozmową, lekkim krokiem dążących do ulubionego miejsca, Hedda lubiła ranek i słońce, a Paweł wydziwić się nie mógł, że mimo bezustannéj całodziennéj umysłowéj i fizycznéj czynności, cztery do pięciu godzin snu młodéj wystarczały dziewczynie.

Ten jéj dar przedłużania życia, jak go Paweł nazywał, był powodem zdarzenia które w stosunek ich wprowadziło wyrażenie: sąsiad i sąsiadka, często przez nich używane zamiast ceremonialnego pan i pani. We wschodnim szczycie domu zajmował Paweł jeden z dwóch pokoików oddzielonych od siebie grubą ścianą i niedomyślał się nawet że Hedda jest jego sąsiadką. Klementyna z dzieckiem i piastunką, ładną młodą dziewczyną, zajmowała dół na lewo, a Paweł sądził że tam gdzieś i Hedda gniazdko swoje mieć musi. Jak w ogóle wszyscy ludzie z bujną wyobraźnią, lubiący marzyć, tak i Paweł sen miał nadzwyczaj lekki, wskutek czego przez dni kilka bardzo wcześnie budzony był szmerem zamykanych drzwi w jego pobliżu, słyszał następnie lekki chód przez sień ku schodom a potem znów była cisza, zasypiał na nowo, a w parę godzin późniéj schodził na śniadanie do ogrodowéj sali, któremu przewodniczyła Hedda, podczas gdy Klementyna wsunięta w róg sofy, od czasu do czasu ukradkiem ziewała. Zwykle na spoczynek panie szły wcześniéj od panów, gdyż tych komendant na szklankę pończu zatrzymywał, dość że sąsiadka Pawła, gdyż co do płci nie miał wątpliwości, już była w swoim pokoju, gdy on szedł na górę; w prost pytać nie chciał, przy pierwszéj jednak sposobności zamierzył odkryć lekką zasłonę téj tajemnicy. Zaraz nazajutrz przebudził się prawie o pierwszym dnia brzasku, a ponieważ sąsiadka jego opuszczała pokój dopiero w jakiś czas po wschodzie słońca, miał więc czas się ubrać, a że niebo najświetniejszemi błyszczało barwami, wychylił się za okno cicho je otworzywszy.

Naturalnie pierwsze spojrzenie jego padło na prawo, i oto! nie omylił się. O parę stóp oddalona, otulona w szal ciepły, drugiem oknem wyglądała Hedda. Twarz miała odwróconą, tak że tylko mógł widzieć czerwone wstążki ślicznego rannego czepeczka, z pod którego wysuwały się jéj ciemne lśniące włosy. Zanim mógł się namyśleć czy cofnąć się nie byłoby stosowniéj, Hedda się obejrzała i spostrzegła go. W życiu swojem nic dotąd więcéj uroczego nie widział nad tę na wpół zdziwioną na wpół śmiejącą się twarzyczkę, różowo oświetloną od wschodniego słońca, a w téj chwili nieco mocniéj niż zwykle zarumienioną.

— Dobry dzień sąsiadeczko, rzekł Paweł.

— Dobry dzień sąsiedzie, odparła bez zmieszania.

— Do téj chwili nie wiedziałem że wolno mi się cieszyć tak zachwycającem sąsiedztwem.

— Widzi pan, kto rano wstaje temu Pan Bóg daje.

— O tem po raz pierwszy przekonywam się teraz dopiero.

— To własna pańska wina.

— A pani od jak dawna wierna téj pięknéj zasadzie?

— Byłam jeszcze bardzo małą dziewczynką, gdy raz w książce z obrazkami ujrzałam wschód słońca, a pod spodem przeczytałam to ładne stare przysłowie.

Naturalnie obrazek był okropny; żółte słońce na wszystkie strony roztaczało swoje pomarańczowe, szerokie promienie, a wieśniak z synem zaprzęgający konie do pługa, wśród szpinakowo zielonéj stali trawy. Obrazek ten zrobił na mnie takie wrażenie, iż dnia następnego wykradłam się z mego pokoju, i patrząc przez małe okienko strychu, daleko za łąkami i ogrodami miasta ujrzałam po raz pierszy wschodzące słońce. Od téj chwili spać już nie mogę gdy zorza poranna świeci na niebie.

— A nim my, ohydne śpiochy, powstajemy, co pani przez ten czas robi?

— Godziny schodzą mi szybko, najczęściéj czytam, czasem jednak szyję lub haftuję, ale jedynie dla tego by ręce zająć, gdyż myślę zawsze o czem innem.

— O czem naprzykład, możęż wiedzić?

— O tysiącznych rzeczach! i powtórzyćbym ich nie potrafiła; często myślę sobie: szkoda że nie jestem uczoną, lub poetką, jakże piękne pisałabym książki!

— Niech pani sprobuje.

— To nad moje siły.

— Dla czego?

— Dla tego że pisać nie umiem.

— Zapewne tak jak Goethe lub Lessing.

— Przeciwnie, jak uczennica bojąca się nagany od nauczyciela. Nie pojmuję dla czego, nie mogę nabrać wprawy w pisaniu, gdy zaledwo jedną zapiszę stronnicę już mi pióro wypada z ręki, a do tego nikt bazgraniny mojéj odczytać nie może, nawet ja sama w godzinę potem odgadnąć jéj nie potrafię.

— W takim razie musisz pani dyktować, tak jak to czynią wielcy panowie; przez czas pobytu mego tutaj, rozkazuj mi pani tak jak najwierniejszemu swemu sekretarzowi.

— Trzymam pana za słowo.

— Bardzo rad będę.

— A więc! zaraz mógłbyś mi pan prepisać kilka poezyi z książek które przyjaciółce mojéj Oldze dzisiaj odesłać muszę.

— Z największą przyjemnością.

— Masz pan czas teraz?

— Każdéj chwili na rozkazy pani.

— To proszę zejdź pan do ogrodowéj sali, przekonam się czy pan zarówno dobrze pisze jak czyta.

Podczas téj rozmowy słońce całym już zaświeciło blaskiem, w chwili potém zeszli się w ogrodowéj sali, przez otwarte drzwi szklane napawali się świeżém, chłodném powietrzem poranku, popatrzeli na morze, które dzisiaj lekkiemi tylko poruszało się falami, poczém usiadł Paweł przy stoliku i pisać zaczął, Hedda chodziła po sali i dyktując, to zanuciła pierwsze wyrazy jakiéjś piosenki, to przechodząc uderzyła parę akordów w klawisze fortepianu.

Począwszy od dnia tego, z młodym człowiekiem było to samo, co z Heddą, gdy po raz pierwszy na obrazku wschód słońca ujrzała. Gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi i lekki jéj chód w sieni, już dłużéj spać nie mógł, i weszło im w zwyczaj, że długie godziny spędzali razem, zanim po ośmio lub dziewię-

cio-godzinnym śnie nadeszła Klementyna. Wydawała się tak zmęczoną jakby po długiéj, pieszéj wędrówce, powiedziawszy pośpiesznie „dzień dobry" rzucała się w róg sofy, i chwila minęła zanim się rozbudziła zupełnie, jak sama o sobie utrzymywała. Przez ten czas Hedda i Paweł nieprzerwanie daléj rozmowę prowadzili, a gdy udał im się dowcip, lub żart jaki, z którego i Klementyna rozśmiać się musiała, wtedy poruszyła się ze swego kącika, po raz pierwszy dużemi niebieskiemi oczami spojrzała na nich przyjaźnie i wziąwszy filiżankę do ręki, którą już przy wejściu podała jéj Hedda, mieszała się do rozmowy.

— Powiedzcie mi dzieci, ile już tomów przeczytaliście dzisiaj rano? pytała wesoło.

— Ani jednéj nawet stronnicy kuzynko; jeżeli jednak życzysz sobie, to natychmiast zacząć możemy. Nieprawdaż panno Heddo?

— Ja zawsze gotowam słuchać sąsiedzie.

— Stójcie! to był żart tylko. Wiecie przecież że niezbyt czytać lubię, i chcąc mnie zająć trzebaby wybrać coś nadzwyczaj wesołego, bo waszemi filozoficznemi powieściami i rozpaczliwemi tragedyami, nie robicie mi wielkiéj przysługi.

— A gdybym miał właśnie, bardzo zajmującą, bardzo wesołą książkę?

— To idźcie naprzód do altany. Ja wkrótce przyjdę za wami, pierwéj jednak zajrzéć muszę do mojego malca.

— To samo mówiłaś wczoraj, a przecież czekaliśmy naprożno.

— Ale dzisiaj przyjdę z pewnością; tylko nie czekajcie na mnie i czytać zacznijcie; to nic nie szkodzi że nie usłyszę początku.

— Ależ kuzynko, jak można miéć tak barbarzyńskie zdanie o sztuce.

— A w życiu czy jest inaczéj? Czyż nie składa się ono z samych fragmentów? Jeżeli dotąd sam się jeszcze nie przekonałeś o tem drogi Pawle, to uznasz tę prawdę gdy dojdziesz do mojego wieku.

— Ależ droga kuzynko, jesteś przecież o pięć lat młodszą ode mnie.

— Zapominasz Pawle że jestem mężatką, a kobieta zamężna jest o dziesięć lat starszą od nieżonatego mężczyzny w tymże samym co ona wieku, a więc ja o pięć lat starszą jestem od ciebie.

— Niech i tak będzie; ale przyznać mi musisz że to nasze urywkowe życie sztuka uzupełniać powinna; często bardzo życie tylko szkicuje pobieżnie, a potem dopiero z niewyraźnego szkicu, poeta, artysta, tworzą obraz doskonały.

— Tego ja nie rozumiem. W téj kwestyi chyba z Heddą dysputować możesz. Idźcie, a nim nadejdę rozprawiajcie o sztuce i życiu. Dla wygody wszystkich ułożonem było że po obiedzie rozchodziło się towarzystwo, i gorące popołudniowe godziny każdy spędzał samotnie, zapełniając je jak się komu podobało, pisaniem, czytaniem lub drzemką. Był to zwyczaj wprowadzony przez Heddę, która słusznie utrzymywała, że powinienby być naśladowany przez wszystkie towarzystwa przebywające na wsi. Nic tak nie nuży, mówiła ona, jak nieustanne obcowanie z jednemi i temi samemi osobami, choćby to byli wykształceni, i najwięcej przez nas lubiani ludzie. Nawet ci, którzy do powiedzenia mają sobie dużo, bardzo dużo, w końcu wyczerpać się muszą; a nawet młodzi zakochani, spędziwszy z radością dzień cały razem, widziałam nieraz jak ku wieczorowi znudzeni obok siebie siedzieli, podobni owym małym, ładnym ptaszkom w klatce, które „*inséparables*" zowią. My ludzie, przede wszystkiem lubimy życie; czy egzystencya nasza byłaby znośną, gdybyśmy od czasu do czasu nie przerywali jéj jednostajności?

Ku wieczorowi zbierano się znowu na wspólną przechadzkę; każdy przybywał z odświeżoną myślą, która często zamieniała się w wesołą pustotę. Jakie urocze są wieczorne wodne wycieczki; gdy szybka łódź pruje wznoszące się fale, lub pędzona wiosłami, spokojnie się przesuwa po gładkiéj powierzchni. Szkarłatna tarcza słoneczna powoli zatapia się w głębokiéj toni, a morze i niebo tysiącznemi mienią się barwami. Na jednéj z różowych chmurek, coraz daléj a daléj, żegluje wyobraźnia nasza aż do dziedziny szczęśliwych, a po tej niezmierzonéj przestrzeni wzrok powraca, by jak najprędzéj wypocząć na ukochanem ludzkiem obliczu, a może... by odnaleźć na niem wspaniałość i piękność natury! Używszy morskiego powietrza, nagadawszy i nażartowawszy się dowoli, całe towarzystwo zgłodniałe powracało do domu. Po wieczerzy, podczas gdy komendant ponczyk swój warzył i odwoływał się do Pawła, udającego znawcę, z pytaniem czy mieszanina dla pań dobrą będzie, pan v. Elze, który wieczorem codziennym był gościem, dla Heddy fortepian otworzył, wiolonczelę swoją wydobył, i rozpoczynał się koncert. W owéj to chwili jasna gwiazda Heddy najjaśniéj świeciła: w tych to godzinach patrzéć na nią lubił Paweł najwięcéj, i najserdeczniéj rozkoszował się bijącem jakby od niéj światłem. On sam nie wiedział czy to nowe położenie w jakiem się znajdował, tak zmysły jego rozbudziło, lub czy Hedda rzeczywiśnie tak znakomity posiadała talent, dość iż zdawało mu się że nigdy nie słyszał gry i śpiewu a szczególniéj śpiewu tak pełnego uczucia. Głos jéj nie był bez wad, a większy znawca niejedno mógłby jéj szkole zarzucić, ale trudno było czuć głębiéj i lepiéj pojmować ducha pieśni i kompozycyi; Paweł utrzymywał że niekiedy sięga głębiéj nawet aniżeli sam autor, i to oddaje co kompozytor, byłby może powiedział, gdyby to słowami był wyraził. W zapale swoim miał Paweł rywala a tym był ojciec Heddy. Stary bohater morski, podzielał w zupełności namiętne upodobanie w śpiewie swego kolegi Odysseusza. W rogu sofy nieporuszenie siedząc przed swoim ponczykiem wpatrywał się w córkę i słuchał z takim zachwytem, że Paweł porównywał go do syna Laertesa, gdy przywiązany do masztu, śmiałem okiem spoglądał ku skale syren, wsłuchując się w ich śpiew zachwycający. Gdy muzykę skończono, westchnął głęboko i z tryumfem spojrzał po obecnych, jak gdyby chciał powiedziéć: przyznajcie! nie jest że to złota dziewczyna? I wołał córkę do siebie, czule głaskał jéj zarumienione lica, pytając czy to była pieśń Sehumana czy też Mendelsohna, „gdyż to niepojęte dla mnie, jak ty doktorze potrafisz to zaraz rozróżnić" i ze szklanki jego musiała córeńka kosztować, aż nakoniec dodawał: Moja Heddo jeszcze jedną piosenkę, tę którą wczoraj śpiewałaś, o duszy, sercu, grobie, a kończącą się tak jakoś: tam, tam, tam, tam! no, już wiesz którą. Hedda na nowo do fortepianu wracała, i śpiewała pieśń Rückerta, w prześlicznym utworze Schumana „*Du meine Seele, du mein Herz*... (Ty moja duszo; ty moje serce).

W oznakach uwielbienia. Klementyna była najoszczędniejszą ze wszystkich, co wcale nie dziwiło Pawła, gdyż jako dawna przyjaciółka, była już świadkiem wielu podobnych tryumfów. Dziwiło go jednak że nad talent Heddy zdawała się Klementyna przenosić talent pana v. Elze, na co żadną miarą zgodzić się Paweł nie mógł, chociaż jego muzykalnéj wiedzy, oddawał zupełną sprawiedliwość. Na wiolonczeli gra biegle, myślał w duszy Paweł, śpiewa dobrze, z łatwością czyta nuty, nawet zna tajemnice generał basu, akompaniuje i transponuje bez żadnéj trudności, jednem słowem pożądanym jest na muzykalnym wieczorze; ale we wszystkiem co wykonywa nie ma tego co najgłówniejsze; nic tam duszy, tego właśnie brakowało Ondynie zanim w miłości zabłysła dla niéj ta nowa gwiazdka. Wszystko jest zimne jak jego oczy; czy ten człowiek kochał kiedy, czy umie on kochać?

Pewnego wieczora gdy komendant opowiadał jedną ze swych nieskończonych historyi Gustawowi, który po parodniowéj niebytności znowu na Nedur powrócił, a przy fortepianie Hedda i pan von Elze zajęci byli żywą sprzeczką w kwestyi muzykalnéj, co im się często zdarzało, Paweł powyższe pytanie powtórzył Klementynie, a ów ulotny rumieniec znów przebiegł po jéj twarzy i nie bez zmieszania odrzekła. Jak to pojmujesz kuzynku?

— Ależ Klementyno, czyżto pytanie może inne jakie mieścić pojęcia?

— Chciałam powiedzieć: dla czego wątpisz o tem?

— Bo głos jego i oczy tak szczególnie są zimne.

— Tego ja nie znajduję; przeciwnie, zdaje mi się że głos jego w duecie tak samo brzmi jak głos Heddy.

— Jest to chyba zimny i ciemny księżyc, otrzymujący światło i ciepło od jasnego słońca.

— Niezaprzeczenie; gdyż wszystko dobre Hedda w doskonałość zamienia.

— Kuzynko mówisz to na wpół z ironią, a ja sądziłem że takie jest rzeczywiste twoje zdanie.

— I słusznie sądziłeś ale wy wszyscy źle robicie tak we wszystkiem wynosząc Heddę, zupełnie mi ją popsujecie i długo trzeba będzie czekać zanim tę główkę znowu do porządku przyprowadzę.

— Kuzynko! kuzynko! wszakże nie jesteś zazdrosną o Heddę?

— Jak możesz to przypuszczać Pawle; kocham ją tak jak rzadko siostra siostrę kochać może, i wiem dobrze że przewyższa mnie pod każdym względem.

— Wyjąwszy pod jednym, który właśnie u kobiet nader jest ceniony.

— A tem jest?...

— Jesteś o wiele piękniejszą od Heddy.

— Czy mówisz to na seryo?

— Najzupełniéj. I przekonany jestem że z wyjątkiem papy Waltera, wszyscy tu zebrani tegoż samego są zdania, nie wyłączając i ciebie saméj kuzynko.

— Bardzo pochlebnie! piękne mi wynagrodzenie za brak wszelkich innych zalet.

— Byłbym ci jedną jeszcze przyznał, gdybyś nie była przed chwilą dowiodła inaczéj.

— O czem chcesz mówić?

— O darze trafnego poznawania i sądzenia charakterów ludzkich.

— A jakiż jest dowód przeciwny?

— Dowód przeciwny że nie znajdujesz zimnemi oczy pana von Elze, a wiesz przecie: że w oczach dusza się maluje.

— Oczy jego znajduję że są rozumne ale nie zimne.

— Jest pewien rodzaj rozumny, który bez znacznego stopnia chłodu istnieć nie może.

— Widzę że biedny pan von Elze o jeden głos więcéj ma przeciw sobie.

— Lecz za to głos kuzynki ma za sobą!

— Bronię go dla tego tylko, że mu tu nikt nie sprzyja, i dla tego że jest nieszczęśliwy.

— Nieszczęśliwy! kto ci to powiedział?

— On sam.

— Mężczyzna powinienby w milczeniu znosić swoje nieszczęście.

— Łatwiéj to mówić jak czynić.

— Ale tak być powinno!

— Więc mężczyźnie nie wolno się skarżyć?

— Jedynie w obec zaufanego przyjaciela.

— A jeżeli pan von Elze uznał mnie godną swego zaufania? gdybym to właśnie ja jego przyjacielem była? kuzynku, dla czego się śmiejesz?

— Wybacz kuzyneczko! ale w téj chwili przeszło mi przez myśl, że w tym przedmiocie mogłabyś stoczyć z Gustawem żwawą dysputę. Klementyna poczerwieniała powtórnie, mocniéj aniżeli pierwéj, i zapytała:

— Co mówił Gustaw o Panu von Elze?

— Kiedy chcesz powtórzę ci własne jego słowa: pan von Elze nie jest to człowiek któryby posiadał jego sympatyą. Takie o nim zdanie Gustawa.

— Co Gustaw może mieć przeciw niemu?

— Być może, rzekł śmiejąc się Paweł, że zarówno jak i mnie nie podobają mu się oczy jego;

— Dla czegóż więc tak bardzo pragnął jego towarzystwa? rzekła żywo Klementyna, dla czego tak często zapraszał go do nas? Wszakże w początkach żył pan von Elze zupełnie samotnie, widywaliśmy go zaledwie raz na tydzień, a Gustaw nie dał mu pokoju póki się nie stał codziennym naszym gościem. Prawdziwie Gustaw jest bardzo niewdzięczny, zapomina że pan von Elze jest uosobistnioną grzecznością względem nas wszystkich, a szczególnie względem niego samego; niedawno jeszcze gdy Gustaw pilną jakąś robotę nie był wstanie na czas wykończyć, przez tydzień cały dzień i noc pan von Elze pisał i rachował za niego, a Gustaw w obec nas wszystkich powiedział: że porucznik o wiele jest lepszym matematykiem od niego.

— Teraz więc jasno rozumiem wszystko, pojmuję nakoniec powód nienawiści Gustawa, ku temu nieszczęśliwemu porucznikowi.

— A więc? z przyciskiem spytała Klementyna.

— Oto, Gustaw zazdrości panu von Elze, gruntowniejszych matematycznych wiadomości, uśmiechając się rzekł Paweł.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum

z końca roku 1878.

(Dalszy ciąg).

Drugie czasopismo miesięczne, Ateneum, widocznie jest na wyczerpaniu sił. Dobre prace pojawiają się tam coraz rzadziéj, zwykle zaś pełno wypracowań bardzo miernych i nudnych (np. rzecz p. Czerwińskiego o poezyi dramatycznéj). Działy bieżące, jak Kronika naukowa i Kronika miesięczna istnieć przestały; krytyka całkiem prawie zamilkła, tak że po kilka miesięcy nie spotykamy żadnéj recenzyi. Widocznie Ateneum nie może przyjść do równowagi; mniéj temu dziwić się będziemy, gdy zwrócimy uwagę na to że i pod względem kierunku to pismo chwieje się i waha. Istotnie, z początku wystąpiło jako pismo „młode“ to jest burzące i poniewierające to, co dotychczas u nas szanowano; jaskrawemi rakietami tego kierunku były osławione w swoim czasie dwa artykuły: Spasowicza o Syrokomli i pana F. K. O romantyzmie; o obydwóch była wtedy mowa i w szpaltach naszego Tygodnika. Potem, jakoś przed nowym 1877 r. redakcya, przez usta swego kronikarza, wyparła się swoich burzących tendencyi, ale od czasu do czasu kusi ją jeszcze wrócić do tego kierunku, proponowanego przez wydawcę. W bieżącym więc roku wypuszczono dwie nowe rakiety, których charakter najlepiéj określa ta okoliczność, że obydwie zostały gorąco pochwalone przez Przegląd Tygodniowy, który dotychczas, od epoki wzmiankowanéj zmiany zasad, stale zżymał się przeciwko Ateneum. Dwa te nowe fajerwerki, dające jednak, podług wyrażenia Horacego, więcéj dymu niż światła są: rzecz p. Spasowicza o W, Polu i p. Chmielowskiego o Listach Odyńca. O tych dwóch efektownych artykułach powiemy słów kilka.

Wygłoszone początkowo w formie prelekcyi, poglądy Spasowicza na Pola wywołały ogólne niezadowolenie i protest; późniéj jednak, i oprócz Przeglądu Tygodniowego, znaleźli się chwalcy, nawet cofający poprzednie swe zdanie. Rozczytawszy się jednak w tych artykułach, widzimy tu, obok wyraźnéj niechęci do przeszłości i jéj ideałów, błyskotliwe i powierzchowne frazesiki zamiast krytycznéj głębokości, sofizmata zamiast wniosków logicznych, wreszcie rażące sprzeczności, dowodzące chaotycznego stanu pojęć, składających ów punkt zapatrywania się, o którym mówi autor. Tak na str. 105 (Ateneum Kwiecień r. b.) autor mówi o Polu, że była to „postać piękna, poważna, podniosła,“ zaznacza że „pojęcia ludzkie zmieniają się ze zmianą punktu widzenia“ (chyba nie wszystkie?) zalicza „religijność“ do żywiołów „konserwatywnych“ (a więc z postępem niezgodnych, tamże str. 106), chwali pozytywizm (tamże) i, co rzecz dziwna, za poprzednika i zwiastuna nowéj epoki uważa Syrokomlę, którego sam rok temu odarł ze wszelkiego uroku (tamże str. 107). Na str. 111 czytamy błyskotliwy sofizmat: „są rzeczy wielkie, poczęte nie z miłości, ale nie masz poczętych nie z rozumu,“ zkądby wynikało, że miłość nigdy do niczego wielkiego nie doprowadzi i że żadne uczucie nic wielkiego nie zrodzi. O przyszłości prorokuje autor, że „dzieje świata innem popłyną korytem, bez krwi potoków, bez wielkich ludzi“ (str. 112), zkąd jakoś wynika, że wielcy ludzie są zbyteczni. Poglądy na historyą, według autora, są bardzo zmienne: „dzisiejsza nauka dziejów nie wystarczy na jutro“ (str. 113). Słusznie gani autor przesadne uwielbienie dla przeszłości, z pominięciem jéj wad i grzechów, ale gdy potępia słowa Szajnochy, jako „indyferentyzm historyczny jest szkodliwy“ (str. 116) znaczy to, że sam skłania się ku uznaniu pożytku tego indyferentyzmu czyli obojętności na historyą, co zupełnie zgadza się z przytoczonem powyżéj zdaniem, o krótkotrwałéj zmienności przekonań i poglądów na dzieje. Zarzuca autor Polowi, że w niektórych utworach jego „dalekie zestawia się z blizkiem“ (str. 116), ale podobno sam autor dopuszcza się tego samego błędu, gdy „piękne“ tradycye historyczne mieni tradycyami „jednéj tylko kasty“ (szlacheckiéj str. 117), bo przecie było tak przy końcu, ale niezawsze.

Niezrozumiałem, ale pewno nagannem jest wyrażenie autora o „Pieśni o ziemi naszéj“ jako o „rzeczy haftowanéj na kanwie najbardziéj *scholastycznéj*“ (? str. 120), a jednak wnet potem chwali ten poemacik, nawet unosi się nad nim (str. 121. Słusznie widzi autor źródło wpływu i popularności w tem że „z sercami spółczesnych jego własne biło w jeden takt i z niemi poeta trzymał zawsze za jedno“ (str. 124). Przeciwko téj stronie uczuciowéj walczy autor, pragnąłby wymazać uczucie z duszy i czynów ludzkich, zgodnie z sektą pozytywistów. Niebardzo wielkiéj sumienności daje dowody, wyrzucając Polowi wzmiankę o chłoście któréj Winnicki doznał od ojca w poemacie tegoż nazwiska: wszak Pol nie wziął chłosty „za temat estetyczny“ jak chce autor (str. 132), nie napisał ody na cześć brata, a z każdéj drobnéj okoliczności, w opowiadaniu przytoczonéj, z rzeczywistości wziętéj i z duchem owego czasu zgodnéj, niepodobna czynić poecie podobnych zarzutów. Czyż to tak postępuje sumienna krytyka, mająca iść nowemi tory? Pochwały nawet, oddawane powszechnie Mohortowi, którego wszyscy mają za utwór rzeźbiony, a samego bohatera za postać posągową, same te pochwały przekręca autor tak że stają się naganą, nazywa bowiem Mohorta „skostniałym dziadem“ i żąda od niego jakichś czynów nowych i wielkich, chociaż typowi temu rycerskiemu zupełnie wystarczają przypisane mu piękne czyny rycerskie. Surowy krytyk nie mógł nie uznać mistrzowstwa poematu „Wit Stwosz,“ ale jak gdyby koniecznie szukał co ma zganić i jak gdyby mu zależało na zmniejszeniu sławy przeszłości, wystawia Stwosza jako winnego fałszerstwa i uporczywie dowodzi, że nie był on polakiem, ale niemcem (str. 142). Pol, według pana Spasowicza, jest „skończony i nieporównany, ale *uprzedzony* znawca wieków średnich“ (str. 144). Widzimy tu nielogiczność, bo kto jest uprzedzony, ten nie może być skończonym (doskonałym) ani nieporównanym (niedościgłym). Podobne sprzeczności, przez mało wymagających lub niezbyt przenikliwych słuchaczy i czytelników uważane za bardzo głębokie, znajdujemy i w końcowéj ocenie Pola: bo jeżeli poeta był „bardzo jednostronny“ to przecię zarazem nie mógł być „mistrzem wielkiéj ręki“ (str. 144), a jeżeli p. Spasowicz nazywa kierunek Ploa „szowinizmem,“ gdyż poeta „nigdy nie przekroczył granic swojéj narodowości i wiary“ co było, „zacofaniem“ i Pol, tem że „mocno wierzył i krzepił wiarę“ oddziaływał „szkodliwie“ (wszystko to na str. 144 — 145), to nie było po co, chyba dla zyskania oklasków, przytaczać w końcu wiersze Pola, wypowiadające te właśnie żywioły jego ducha i poezyi, dopiero co przez p. S. potępione.

Język pana Spasowicza niepoprawny, pełny grubych rusycyzmów, jak np. „nie na dziejowych faktach, *a już* na czysto rasowych przymiotach“ (str. 128); „*postradał* (wycierpiał) za żyjących i ich od śmierci wyratował“ (str. 140); „*oczy się rozbiegną* (?), taki tam przepych szczegółów“ (str. 141); „*użyć to nieszczęście*, jako środek“ (st.143); „*odmawiając się* od wstąpienia do herbu“ (tamże), „zakończenie mojéj *biesiady* (!!) o Polu“ (str. 145) i wiele innych.

(d. n.)

Łokciem i Miarką, powieść społeczno-obyczajowa, przez *Stanisława Grudzińskiego*. (Odbitka z „Niwy“). Warszawa 1879 r. 8-a wiel. str. 192.

Chociaż nam nie zbywa na pojawiających się z każdym prawie dniem nowych powieściach, tak oryginalnych jak tłomaczonych, powieść jednak, któréj tytuł wypisaliśmy w nagłówku, wielce zajęła ogół czytający, nie dla tego, aby zawierała w sobie coś osobliwego, coś zaciekawiającego, lecz dla tego, że autor dotknął w niéj rzeczy mocno naszą społeczność obchodzących,

Powieść p. Grudzińskiego ma wybitną dążność społeczną, czyli, jak to się zwykle dziś mówi, jest powieścią tendencyjną.

Jakie jest nasze zdanie o powieści tendencyjnej powiemy niżéj, tymczasem zaś notujemy, że główna idea utworu p. G. streszcza się w epigrafie:

„Świetnością rodu jest cześć nieskalana.“

Ktoś, a takich ktosiów jest u nas na nieszczęście bardzo wielu, mógłby powiedzieć, nie czytając nawet książki, że to zapewne jakiś panegiryk szlachetczyzny, jakieś wyidealizowane przesądy, lub w najlepszym razie „gorzkie żale“ nad upadającą tradycyą...

Znamy dobrze tę frazeologią ludzi niby postępowych, a w istocie bardzo zacofanych...

Nie o nich więc nam idzie, lecz dla tych, którym

jest drogą *przyszłość* naszego społeczeństwa, którzy chcą ją mieć racyonalnym rozwojem *przeszłości*, rzucamy kilka uwag, wystawiających we właściwem świetle obecne nasze położenie, a tem samem mogących posłużyć do należytego ocenienia zasad rozwiniętych i przeprowadzonych w powieści pana G.

Utrzymywać dziś potrzebę kast uprzywilejowanych, z widoczną szkodą innych warstw społecznych tak zwanych niższych, i to jeszcze w imię ustroju społecznego, w imię jednego z najkonieczniejszych warunków bytu politycznego... jest poprostu niedorzecznością, jest tendencyjnem obałamucaniem rozumu ludzkiego.

Zdaje się, że w wieku XIX dowodzić tego nie trzeba. Nadmieniamy wszakże, iż szlachta polska, a w szczególności samo szlachectwo polskie wcale nie jest podobnem do tego rodzaju instytucyi w innych krajach Europy, choćby już dla tej prostej przyczyny, żeśmy nigdy nie byli krajem zaborczym, trzymaliśmy się raczéj polityki odpornéj, niż zaczepnéj. Wszelkie hypotezy o początku szlachty polskiéj jak dotąd nie wytrzymują krytyki, to wszakże pewna, iż obrońcy zagrożonych ognisk domowych utworzyli rycerstwo zrazu szczupłe, potem wyrosłe do tego stopnia, iż ogarnęło prawie kraj cały. Rozwielmożniony stan rycerski pochłonął żywioł mieszczański i ludowy.

Bezstronna krytyka historyczna wykazała już dostatecznie dobrą względnie i złą téż względnie stronę takiego stanu rzeczy. Przypomina się tu brak wojska regularnego.

Mieszczanie, do których zaliczamy żydów, ludzie po większéj części napływowi, przez pieniądz i jaką taką ogładę radzili sobie, jak mogli ze szlachtą, a nawet nierzadko sami otrzymywali szlachectwo. Najsmutniejsza za to była dola rolniczego ludu, gdyż wybrańcom tylko jego udawało się niekiedy ceną krwi własnéj dokupywać klejnotu szlacheckiego.

Są to rzeczy wiadome.

Nastąpiły znane z historyi wypadki; te do gruntu zmieniły ustrój społeczny, bo w nich nietylko szlachta brała udział, ale każdy, co nie był obojętnym na los rodzinnego kraju. Nie pytano wtedy, kto cię rodzi, ale jak myślisz i co robisz.

Stosunki z zachodem zdemokratyzowały ostatecznie Polskę.

O tak zwanéj arystokracyi, nie wspominam, bo ta jak wszędzie tak i u nas, ma więcéj charakter kosmopolityczny, niż narodowy.

I tego dowodzić nie trzeba.

Szlachta jako szlachta od stu blizko lat już nie istnieje u nas, gdyż weszła w skład prawie wszystkich warstw społecznych.

Przewrot ekonomiczny i administracyjny, za dni naszych dokonany, bardziéj jeszcze wpłynął na zmianę wyłącznego stanowiska zajmowanego przez potomków dawnéj szlachty, a używana dotąd nazwa *szlachta* na oznaczenie obywateli wiejskich, jest bardzo względną, jeśli nie zupełnie fałszywą, ot, po prostu *modus dicendi*, reminiscencyą, jak dawniéj bywało, gdyż obecnie znaczna część majątków ziemskich znajduje się w ręku albo zupełnie nowych ludzi, albo téż takich którzy ani mogą, ani téż roszczą sobie pretensyi do szlacheckiego z dawnych czasów pochodzenia.

Conservatio sui ipsius, wrodzone nietylko wszystkim osobnikom, lecz narodom całym, zmusiło nas do zajęcia się z całą energią, jakiéj dodaje walka o byt, wszystkiemi czynnikami wytwarzającemi bogactwo narodowe, i wtedy przerażeni i zdziwieni przekonaliśmy się, że przemysł i handel również znajduje się albo zupełnie w obcych rękach, albo téż krajowców, którzy nie solidaryzują się z całością społeczeństwa naszego, tworząc państwo w państwie. Czytelnik domyśli się, że mówimy tu o kulturträgerach, wyzyskujących nas na wszystkie strony i o żydach, którzy bądź co bądź, z małym inteligentnym wyjątkiem, są jedną z tych sił fatalnych, które paraliżują najlepsze zamiary nasze podźwignienia się ekonomicznego.

Powtarzamy, że u nas nie ma szlachty jako oddzielnéj, uprzywilejowanéj kasty, są tylko Polacy, których samo nazwisko i rodzinne wspomnienia dowodzą, że są krajowcami, nie zaś jakąś naleciałością, która się tuczy i rozwielmożnia na naszéj ziemi, nie poczuwając się do żadnych względem niéj obowiązków, jeśli takowe nie mają bezpośredniego związku z jéj osobistym, samolubnym interesem.

Powstawać więc przeciw potomkom dawnych rodzin, dziś biednym, rozproszonym, walczącym często z niedostatkiem i ciemnotą, odczuwającym na sobie aż do zbytku upokarzającą przewagę kapitału nad pracą... jest tak samo niedorzecznością, jak chcieć i pragnąć powrotu feudalnych czasów.

Tak się obecnie u nas rzeczy mają, teraz zobaczmy jak autor *Łokcia i Miarki* pojmuje ideał szlachcica polskiego, uosobiony w rotmistrzu i jego wnukach?

Rotmistrz Wapowski nie jest to rubaszny poczciwiec Reja, ani rozumujący, zastanawiający się nad wszystkiem, podstoli Krasickiego lub téż podstolic Massalskiego, lecz jest to typ Polaka rozumiejącego swój czas i jego warunki. Nie wyrzeka się on swoich przodków, nie odgrywa roli demokraty za jaką bądź cenę, lecz jest przede wszystkiem prawym i szlachetnym człowiekiem, wiernym synem ziemi, na któréj się urodził. Kiedy był młodym, nie szczędził krwi dla jéj dobra, ztąd jego tytuł. Potem zaś, po śmierci syna, gdy dość znaczny majątek nie przez zbytki lub opieszałość, lecz w skutek katastrof krajowych przeszedł w obce ręce, nie upadł na duchu, lecz jął się pracy ręcznéj, i radą i przykładem służył swoim wnukom, pokierował niemi tak, jak tego wymagały czas i dobro społeczne. Jeden jego wnuk (Tadeusz) został rzeźbiarzem i całą duszą poświęcił się sztuce, drugi (Kazimierz) po przebyciu burzliwéj młodości, został porządnym pracownikiem w fabryce machin; wnuczka zaś, nadobna Zosia, idąc za głosem serca oddała rękę człowiekowi ubogiemu, ale zacnemu i inteligentnemu. Rozum, powaga i nieskazitelne imię rotmistrza oddziaływały na los i innych rozbitków, i to w sposób zacny, daleki od wszelkich przesądów, a zawsze z przewodnią myślą dobra ogólnego. W stosunkach z ziomkami nie pytał ich o rodowody, ale jak postępują; nie pytał, jaką kto wyznaje wiarę, jeśli tylko tak samo jak on gorliwie służył Bogu i swojemu społeczeństwu. Z ludźmi nieszlachetnemi, chociażby szlachtą nic nie chciał miéć do czynienia, gdyż widział w nich tylko pychę i samolubstwo. Nie chciał znać ludzi *łokciem i miarką* mierzących swoją uczciwość. Rotmistrz nie pozował jednak na jakiegoś apostoła przeszłości, na mędrca-wyrocznię przyszłości, był tylko rozumnym i dobrym Polakiem, którego wszelkie aspiracye szlacheckie zawierały się w jednem zdaniu, że największą *świetnością rodu jest cześć nieskalana*. Oto cała jego wyższość, przed którą skłonił głowę nawet taki Goldhaber, który nie pojmował i nie cenił nic prócz pieniędzy, którego jedynem bóstwem było bogactwo.

Zupełnem przeciwieństwem rotmistrza jest marszałek ze swoją rodziną; człowiek to w gruncie niezły, lecz opaczne mający pojęcia o swojéj godności szlacheckiej, w któréj prócz niczem nieusprawiedliwionych pretensyi, żadnych nie widzi poważnych obowiązków względem ojczystego kraju. Hańbi się, pragnąc frymarczyć losem swych córek, a hańbi się, sam nie wiedząc o tem. Gdy mu zaś oczy otworzono... pada i umiera.

Inne osoby wprowadzone do powieści grają podrzędną rolę, służąc jedynie do przeprowadzenia głównéj myśli, są jakby *exempli gratia*.

Utwór pana G. jako powieść wiele pozostawia do życzenia, mianowicie téż pod względem tak zwanéj architektoniki powieściowéj. Nadto, podobało się autorowi pracy swéj nadać formę jakąś fragmentyczną; wiele tu rzeczy brak, opuszczenia widoczne; dla praktycznego czytelnika nie masz odpowiedzi na niejedno pytanie, ot choćby np. na takie, co mógł rotmistrz zarabiać swoją tokarską robotą? Charaktery wprowadzonych do powieści osób, nawet główniejszych, nie wykończone i nie wycieniowane dostatecznie; kilka scen po mistrzowsku oddanych nie odsłania nam jeszcze ich życia. Wiemy jak mówią, ale nie wiemy, jak postępują. Więcéj działania, a mniéj opisów nadałyby całemu utworowi większe zajęcie. Kobiety, oprócz Zosi, są wszystkie zbyt blade, a i sama Zosia nie odznacza się rumieńcami. Wiemy od autora, że była piękną, łagodną, rozsądną, pełną nieprzebranych skarbów serca, jak prawdziwa Polka, ale nie wiemy, jaką była *kobietą*, jaki miała pogląd na świat, jak łamała się z twardemi życia warunkami, zwłaszcza po przejściu z dostatków i wygód do mozolnéj, często, jak u nas, upokarzającéj pracy i nieuchronnego od niéj niedostatku?

Ponieważ autor wybrał powieść jako pole do wypowiedzenia swych przekonań społecznych, więc naturalnie nie mógł i o romansie zapomniéć, bo cóżby to była za powieść, w któréjby nie było kochanków. Ale na co skojarzył w końcu tyle małżeństw? To za wiele, chyba chciał nas dobitnie przekonać, że prawdziwa miłość wyższą jest nad wszelkie przesądy rodowe, ależ o tem wiemy od dawna. Co do nas poprzestalibyśmy, na jednym tak ślicznym i poetycznym, chociaż z rzeczywistości podobno wziętym, romansie Tadeusza, który wyrzeka się ukochanéj przez siebie kobiety, wyrzeka szczęścia, bogactw i zaszczytów, gdy warunkiem osiągnięcia ich jest wyrzeczenie się swojego *ja* narodowego...

Jeśli powieść pana G. nie odpowiada pewnym warunkom, jakieśmy sobie wyrobili o powieści, w ogóle, to nie idzie zatem, aby ją można stawiać niżéj od wielu innych tego rodzaju utworów. Owszem znajdujemy w niéj kilka dyalogów z taką prawdą, z takiem życiem przedstawionych, że one okupują sowicie usterki w całości. Zresztą pan G. pisząc powieść tendencyjną, albo raczéj swoją tendencyą ubierając w powieść, z góry zapewne był przekonanym, że ta ostatnia wiele na tem ucierpi. I rzeczywiście zwykle się tak dzieje: dowodem tego powieść tendencyjna jednego z pierwszorzędnych powieścio-pisarzy naszych, Zacharyasiewicza, którego ani „Święty Jur,“ ani „Na kresach,“ pomimo całéj świętości sprawy, w obronie któréj stają, nie liczą się do najlepszych jego powieściowych kreacyi.

Nie wynika ztąd przecież, aby powieść w ogóle nie miała jakiéj przewodniéj idei, przeciwnie w każdéj dobréj powieści jest ona konieczną, lecz nie wypadki i ludzie stosują się do niéj lecz jest ona następstwem prawie nieuniknionem samego życia.

Jest-to może subtelność wyrazowa, niemniéj jednak prawdziwa.

Popularyzowanie pewnych idei bądź społecznych, bądź filozoficznych, a czasem umiejętności całych, za pomocą formy powieściowéj, największym mistrzom słowa nie zawsze się udawało.

A pana Grudzińskiego, sądząc po tem, co już drukiem ogłosił, możemy także nazwać mistrzem

słowa: język jego poprawny, w niektórych miejscach silny i dosadny, a wszędzie poetyczny, obrazowy, wolen tych frazeologicznych łamańców, które mają za dowcip uchodzić, i tych słówek *pikantnych*, które tak smaczną stanowią przyprawę dla pewnych czytelników.

J. Fracki.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

Paryż 1 kwietnia.

Pisząc w téj chwili datę, przyszło nam mimowolnie na myśl, czy aby czytelniczki nie zechcą nas posądzić o jakąś mistyfikacyą, zwłaszcza że i wiosna w tym roku wyprawiła nam prawdziwe *Prima aprilis*, zsyłając szarugi a nawet śnieżne zamiecie zamiast promieni słonecznych. Co tu pisać o modach, zapyta kto, jeśli nie można widzieć nic nowego na przechadzkach ani na ulicy? Otóż możemy zapewnić Czytelniczki, że dzięki uprzejmości pani Kuhnke, jesteśmy w obiegu wszystkich nowości, przygotowanych na wiosnę i na lato. Widzieliśmy piękne kapelusze, nowe okrywki i kostiumy, zakupione na model przez tenże magazyn. Ktoby nam nie dowierzał, niech sprawdzi rzecz na miejscu, a przekona się że prawdę mówimy choć pod datą *Prima aprilis*.

Zapowiadano w ciągu zimy, wielkie rozmiary w wiosennych kapeluszach, co się jednakże nie sprawdziło: ronda u nich zwyczajne, główki tylko szerokie, a niektóre podnoszą się w górę stożkowato. Przez dziwną jednak sprzeczność, widzimy inne kapelusze, złożone z samego ronda; miejsce główki zastępują zwoje kwiatów, pokrywające włosy. Najwięcéj nosić będą w tym roku słomkowych kapeluszy tak ze słomy ryżowéj jak brukselskiéj. Na modele zakupiono ich mnóstwo, w kolorach rozmaitych: szarym, brązowym, popielatym, śmietankowym, nie mówiąc już o naturalnym kolorze, który przemaga nad innymi. Na rano używane będą czarne, brązowe lub naturalne z grubo plecionéj słomy.

Kolory wstążek najmodniejsze, śmietankowy (créme), i błękitny *japoński*, wpadający w zielonkowaty odcień. Pojawił się także kolor przepalonéj miedzi zwany *vieille casserolle*, (stary rondel). Oprócz wstążek, są także do ubrania kapeluszy, gazy w prążki w powyższych kolorach. Kwiaty tegoroczne odznaczają się nadzwyczajną lekkością i liściem jasnym w odcieniach mieszanych. Używane bardzo gwoździki, i róże herbaciane, mieszane z blado-różowemi. Czarne kapelusze przybierają dżetem; inne strojniejsze brylantowemi sprzączkami. Wiele widzimy słomkowych kapeluszy ugarnirowanych bretońską koronką, karbowaną w maszynie: szarfy koronkowe zastępują u nich miejsce wstążki. Czarna bretońska koronka, również karbowana służy do czarnych kapeluszy. Ronda podszywają aksamitem lub atłasem.

Po tych ogólnych uwagach, przystępujemy do szczegółowego opisu:

Ciemno brązowy z grubo plecionéj słomy, przeznaczony wyłącznie na rano, ma rondko podbite atłasem w tymże samym kolorze. Nad rondem wpięta wielka kokarda z takiejże wstążki atłasowéj, druga kokarda spada na warkocz z pod karczka; długie od niéj końce mogą służyć do wiązania pod brodę.

Inny strojniejszy, z cienkiéj słomki brązowéj, odznacza się rondkiem, podniesionem w górę z lewego boku, na tem podniesieniu, złożonem z dwóch kontrafałdów, wpięty bukiecik z polnych kwiatków i pąsowych makówek. W koło główki idzie gerlanda z owsa w kolorze naturalnym. Kokardy z wstążki brązowéj dopełniają ubrania.

Inny jeszcze strojniejszy, ma rondko ze słomy koloru śmietankowego, nagarnirowane z wierzchu koronką bretońską karbowaną. Nad rondem przekręcona zręcznie wstążka tegoż koloru. W miejsce główki zostawiony próżny otwór, zapełniony różami w dwóch kolorach, blado różowym i śmietankowym — liście u nich jasne, bardzo lekkie. Szarfy długie i szerokie ze wstążki śmietankowéj związują się pod brodą.

Dwa powyższe kapelusze pochodzą z magazynu pani Michniewicz, która zjednała sobie wielką wziętość w Paryżu.

Z magazynu pani Pariset oglądaliśmy piękny kapelusz czarny koronkowy. Główka u niego szeroka, denko jéj całe zaszyte dżetem. Rondo nagarnirowane dwa razy czarną koronką bretońską, przepinaną w odstępach, muchami z czarnéj lawy; z boku wpięty bukiecik z piórek strósich. Brzegiem ronda idą rzędem wielkie perły dżetowe. Szarfy do wiązania, ogarnirowane czarną karbowaną koronką.

Kapelusz słomkowy od pani Raymond, ma główkę wązką dosyć wysoką; rondo podbite aksamitem *caroubier*. Nad niem idzie wielka kokarda ze wstążki koloru śmietankowego, przepięta strzałą stalową. Z lewego boku spada na tył wielki bukiet z róż śmietankowych nakrapianych różowo, z ciemno różowemi pączkami.

Śliczny też kapelusz od pani Virot, słomkowy jasny, podbity czarnym aksamitem. Główka u niego przepasana szeroką białą wstążką, spiętą na trzy brylanty. Wierzch ronda rzęsisto nagarnirowany koronką bretońską. Z boku idzie bukiecik z czterech marabutów, odwróconych od siebie, przepiętych w środku węzłem z białéj wstążki. Takież szarfy służą do wiązania.

Uważaliśmy jeszcze bardzo oryginalny kapelusz z jasnéj słomy, ma on dwa ronda, podszyte aksamitem czarnym. Między temi rondkami dany w pośrodku pęczek z wązkiéj wstążeczki niebieskiéj, w dosyć mocnym odcieniu (*bleu de France*). Powyżéj idzie gerlandka z niezapominajek, złączona w tyle głowy, sutą kokardą z wązkich wstążek.

Inny znów kapelusz z białéj słomy, opasany wstążką w miedzianym kolorze (*vieille casserolle*) ma nad rondem trzy kokardy, w trzech coraz bledszych odcieniach. Powyżéj wpięty bukiecik, bzu białego. Rondo podbite czarnym aksamitem, szarfy do wiązania miedziane.

Z pomiędzy okrągłych kapelusików, zwrócił uwagę naszą czarny słomkowy podbity aksamitem; w koło ciągnie się wężem czarna bretońska koronka; na każdem odwróceniu wpięty brylant; z boku spada wielki bukiet z lekkich gwoździków, w rozmaitych odcieniach.

Inny okrągły kapelusik, biały słomkowy, opasany gazą w kolorze niebieskim *Japonais*, ma nad rondkiem gerlandę z pączków róży. Z tyłu spada wielki węzeł z gazy, przytwierdzony w górze trzema odpowiedniemi bukiecikami. Rondko podbite aksamitem czarnym.

Od kapeluszy przejdźmy do okrywek. Używane najwięcéj wizytki z czarnego kaszmiru indyjskiego na podszewce jedwabnéj, przybrane koronką bretońską i pasmanteryą. Młode osoby noszą lekkie wizytki i dolmaniki w kolorach szarym i jasno popielatym.

Widzieliśmy także bardzo piękną wizytkę czarną, z tyłu niezbyt długą, z przedłużonemi znacznie przodami. Ogarnirowana wkoło koronką bretońską w podwójne kontrafałdy; pomiędzy temi fałdami naszyte jeszcze medaliony z pasmanteryi. Z pod koronki spada u brzegu frendzla jedwabna karbowana.

Dolmanik popielaty kaszmirowy dla młodéj osoby, ma szerokie spadające rękawy. Brzegiem idzie popielata frendzla jedwabna powyżéj takaż pasmanterya!

Modele kostiumów tegorocznych tem się odznaczają że dotykają tylko ziemi; spódniczka u nich mniéj opięta niż dawniéj, moda bowiem małych rogówek po bokach, zwanych *paniers*, coraz się bardziéj upowszechnia.

Kostium w kolorze ciemno błękitnym *Japonais* złożony z kaszmiru indyjskiego i materyi. Przód spódniczki jedwabny, ma u dołu dwie dość wązkie falbanki. Daléj idą boki z kaszmiru, plisowane podłużnie. Tylny bryt tworzy dwa *puffy* jeden nad drugim. Stanik do tego kaszmirowy, otwarty z przodu, zakończony baskiną. Przody stanika, ułożone brzegiem w trzy fałdy, u szyi marynarski kołnierz. Pod spód idzie jedwabna kamizelka, zapięta na szmuklerskie guziki. Z pod stanika spada na puffy, szeroki koniec jedwabny.

Drugi kostium, składa się z szaréj wełnianéj tkaniny i takiejże materyi. Spódniczka jedwabna, ma u dołu szeroki zaprasowany wolant. Na to idzie wierzchnia spódniczka wełniana, ułożona bardzo sztucznie w ukośne fałdy. Przód jéj tworzy fartuszek, upięty fantastycznie do boku. Stanik do tego francuzki, kończy się w tyle klapą w rodzaju fraczka, z wielką kokardą jedwabną. Przody mocno roztwarte, pod spód idzie kamizelka jedwabna, układana w podłużne, zaprasowane fałdy. U szyi wielki kołnierz. Rękawy obcisłe z odwiniętym mankietem jedwabnym.

Zwróciły także uwagę naszą modele dwóch powłóczystych sukień, przeznaczonych na wizytę lub obiad. Jedna z nich ma spódnicę czarną jedwabną zakończoną wolantem. Na wierzch idzie tunika z materyi pompadour, w deseń różnokolorowy, tworzący mozajkę na tle czarnem. Tunika ta, dosyć bufiasto pokrywa głównie boki, podniesione rogówką. Z tyłu spada od stanu, długa powłoka z czarnéj materyi, wcale nie podpinana, objęta materyą pompadour, i suto nagarnirowana czarną koronką bretońską. Stanik z materyi pompadour, ma przód otwarty. Z pod niego wygląda kamizelka czarna spięta na rząd brylantowych guzików.

Druga suknia, złożona z kaszmiru indyjskiego w szarym kolorze i z materyi Pompadour na tle błękitnem, ma przód gładki wełniany; z dwóch stron idą w podłuż po dwie falbanki kaszmirowe; w pośrodku zaś kokardy z błękitnéj materyi; boki spódnicy przyfałdowane, z tyłu długi tren. Poniżéj stanu przerzucona szeroka szarfa z materyi pompadour, koniec jeden spada na tył sukni. Stanik do tego długi otwarty, na kamizelce z materyi pompadour. Kołnierz wielki z takiéj że materyi, równie jak klapy u rękawów.

Powiemy jeszcze słówko o czepeczkach i ubiorkach na głowę, które należy dobierać do różnego wieku i każdego rodzaju twarzy. Dla młodych mężatek widzimy małe gniazdeczko do przypięcia na środku głowy. Jedno z nich składa się z koronki bretońskiéj, z wstążeczki atłasowéj w dwóch kolorach, blado niebieskiéj i caroubier, i z maleńkiéj wiązki polnych kwiatów. Drugie ułożone z wązkiéj wstążeczki blado różowéj i błękitnéj, ma w środku małą różę.

Dla starszej osoby ładny bardzo czepeczek ko-

ronkowy czarny w rodzaju fanszonika. Przód nagarnirowany koronką z dżetem; na tył spadają końce spięte czarną atłasową kokardą na środku głowy wpięty bukiet z białéj czeremki.

Inny czepeczek biały z koronki bretońskiéj, nagarnirowany suto nad czołem, nad tem idą pukle z wstążki niebieskiéj, (*bleu japon*) przepinane złotemi pierścieniami, z tyłu końce spięte na pierścień, spadają dość długo na warkocz.

Negliżyki w ogólności bardzo gustowne i oryginalne. Jeden przeznaczony dla młodéj osoby, okrągły, bufiasty kładzie się na wierzch głowy. Otacza go w koło koronka bretońska. Na środku wpięta wielka kokarda z wązkiéj różowéj wstążki.

Drugi niemniéj oryginalny, muszlinowy, ma nad czołem riuszę koronkową, i ułożone *en diademe* pukle z różowéj wstążki; był znacznie przedłużony spada na warkocz, zakończa go rząd pukli, przytwierdzony rzęsistą ruszą.

Mówiliśmy już w poprzednich korespondencyach jak wielką rolę w ubraniu dzisiejszym, grają chusteczki i krawatki z indyjskiego muszlinu; nagromadzono ich tu wielki zapas. Wszystkie składają się z muszlinu, koronki bretońskiéj, i wstążki w różnych kolorach. Układ ich bardzo urozmaicony, jedne przedłużone sięgają aż do pasa; inne służą do sukien z kwadratowym wykrojem, inne znów do sukien wysokich, tworzą krótką, zgrabną kokardę.

Uważaliśmy też bardzo ładne krawatki jedwabne w rodzaju Pompadour, w drobny mozajkowy deseń, na tle czarnem, różowem, błękitnem, *caroubier* i t. d. Inne gładkie krawatki, mają u brzegu przerabiany szlak, i frendzlę jedwabną w odpowiednich kolorach.

W kołnierzykach płóciennych podobał nam się nowy model: złożone są z dwóch części; jedna idzie w górę, druga odwinięta tworzy wyłożony kołnierzyk: pomiędzy niemi w pośrodku, przeciąga się krawatka.

Nowe wydawnictwa.

Zasady poprawnego pisania, w przykładach wyłożyła Józefa Kamocka b. nauczycielka gimnazyum żeńskiego i wyższych zakładów naukowych w Warszawie. Pracę tę będącą na dobie powitaliśmy z przynależnem jéj uznaniem. Dziś przy zaniedbaniu mowy ojczystéj, przy jéj jakby rozmyślnem psuciu i lekceważeniu, co tylko posługuje do utrzymania jéj pierwiastkowéj czystości tak w piśmie jak w mowie zasługuje na wielką baczność wszystkich przewodników uczącéj się dziatwy. Dla niéj też głównie praca Szanownéj Autorki przeznaczona a ofiarowaną została dawnym jéj Uczennicom jako przypomnienie wszystkiego co w ichsercu i myśli zapisać pragnęła.

Niepodobna całéj téj pracy przeglądać krytycznie; szczegółowa ocena zbytby musiała być drobiazgową i obszerną aby odpowiedziała swemu zadaniu, a w każdym razie nie byłaby stanowczem orzeczeniem ale własnym poglądem nie mającym także stałéj podstawy. Ułożenie jéj należy do zgromadzenia naukowego, Szanowna też Autorka podzielając to zapatrywanie przyrzeka sprostowanie w przyszłości głównych punktów toczących się sporów, gdy wynik badań naszego języka przez sąd Akademii Umiejętności w Krakowie ogłoszony zostanie. Jaki zaś główny cel naznaczyła dla swéj pracy, ten najlepiéj uwydatnia się w jéj przedmowie, z któréj ustęp początkowy w całości powtarzamy.

„Obecną pracę swoją dla miłości polskich dzieci przedsięwziętą, wam dawnym i dzisiejszym uczennicom moim poświęcam i w wasze ją ręce składając, waszemu kobiecemu sercu polecam.

Są rzeczy święte i drogie, które się dziecku od matki na drogę życia należą; które jéj staraniem w młodéj duszy wyryte być powinny, aby w niéj nie zatarły się nigdy; które cna miłować nauczyć powinna, aby się jego sercu nigdy obojętnemi nie stały, takie są: zasady religii i zasady swéj mowy ojczystéj, a ja w każdéj z was chcę widziéć matkę-nauczycielkę, czy nauczycielkę-matkę, co jedném tylko pojęciem dla zacnéj kobiety być winno.

W téj chwili idzie mi o zasady języka, a wy wiecie, co to ciężkiéj, a często bezowocnéj pracy podjąć trzeba z kilkonastoletnią nawet młodzieżą, nieprzygotowaną do wyższéj w przedmiocie tym nauki; nie przynoszącą z domu nic do rozwijania, a tak wiele do wykorzenienia ze względu codziennego nawet własnéj swéj mowy użycia. Wy wiecie, co to za męka z nieszczęśliwą pisownią z którą na szkołę i to za długo czekano... z owém niedbalstwem wymawiania, zatracającém wszelki ślad pochodzenia i ducha, a nawet znaczenia pewnych wyrazów; z owem nawyknieniem, którego nie sposób już *oduczyć*, gdy czasu tak już niewiele, ażeby czegoś *nauczyć*! I gdybyż ta męka upragniony owoc wydała!... ale niestety! wydać go nie może dopóty, dopóki szkoła siać będzie na nieuprawionym i nieprzygotowanym gruncie serca i umysłu swych uczniów.

W imię więc praw i przywilejów moich, którym serca wasze nie zechcą pewnie zaprzeczać... zwracam się do was z gorącém słowem wezwania do gorliwego spełniania obowiązków waszych w kółku rodzin własnych, lub przybranych, i niosę pomoc i wskazówkę, wam niedoświadczonym w nauczaniu dzieci porządnego pisania i mówienia, koniecznie jeszcze potrzebną“

ZAWIADOMIENIE

Przełożona szkoły rzemieślniczéj

WE WŁOCŁAWKU.

Dobre chęci i zdolności w każdéj gałęzi umiejętności, cechują nasze rodaczki. Nie masz trudności, tak w kierunku umysłowym jak fachowym, któréj by nie pokonały. Dowodem tego zaszczytnie pokończone kursa rzemiosł i umiejętne prowadzenie warsztatów na swoją rękę, tych Uczennic, które w szkole naszéj naukę pobierały. Nazwiska ich podałam w przeszłem sprawozdaniu, Brakuje tylko nieco wytrwałości, która wieńczy usiłowania, toruje drogę do samodzielnego bytu i błogiego przeświadczenia że się jest użytecznym członkiem społeczeństwa. Pojedyncze usiłowania nie są zdolne ogólnéj zaradzić potrzebie, dla tego wytrwałość koniecznie połączyć potrzeba z wrodzoną zdolnością i dobremi chęciami.

Nowe kursa rzemiosł, krawiectwa, kwiatów, koronek etc. rozpoczynają się z dniem 1-ym maja r. b. Zakład wygodniéj urządzony przenosi się na ulicę Żelazną Nr. 440. Za życie, mieszkanie i naukę płacą uczennice rs. dwadzieścia miesięcznie, a tytułem wpisowego wnoszą jednorazowo rs. 25.

Z dniem przybycia liczy się miesiąc. Każda uczennica dostatecznie obeznana z szyciem ręcznem, ma prawo za jedną opłatą wpisową uczyć się kroju, kwiatów, koronek i rysunków. Rzemiosło zaś każde osobnéj wymaga opłaty.

Przełożona szkoły rzemieślniczéj.

Agnieszka Bufle.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, Марта 21 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

— Tam niezawodnie znajduje się moja szkatułka! zawołał lord Dane. Młody Beecher mówił już Williamowi że takie skrytki znajdują się w pałacu, ale nie wierzyłem temu i z tego właśnie powodu oczekiwałem tak niecierpliwie twego powrotu, panie Apperly. Byłem pewny że jeżeli itsnieją rzeczywiście, to musisz o nich wiedzieć; dziwi mnie tylko że ojciec nigdy mi o nich nie wspominał.

— Nie lubił o nich mówić, starzy ludzie opowiadają że jeden z lordów Dane zajmował się kontrabandą, i ta legenda gniewała bardzo twego ojca, milordzie. Tylko przypadek zrządził że zostałem przypuszczony do tajemnicy. Ja sam pokazałem te skrytki obecnemu lordowi, kiedy objął pałac w posiadanie.

— Powiedz mi teraz, panie Apperly, jakim sposobem zabrać ztamtąd szkatułkę?

— Może już ją zniszczył.

— Nie sądzę. Otworzyć jéj nie mógł bo zamek jest doskonały, a klucz szczęściem pozostał w kieszeni Williama... rozbić obawiałby się, bo hałas mógłby zwrócić uwagę służby.

— Co było w téj szkatułce? zapytał adwokat.

— Wolałbym, panie Apperly, gdybyś zamiast wchodzić w szczegóły obecnie niepotrzebne, zajął się wyłącznie tém o co nam idzie głównie. Teraz chciałbym tylko wiedzieć jakim sposobem mógłbym odzyskać moją szkatułkę.

— Na to jest tylko jeden sposób, milordzie, oświadczyć głośno kim jesteś. Skoro raz wejdziesz, milordzie, do pałacu, sam tylko będziesz tam panem, sam tylko będziesz miał prawo wydawać rozkazy.

— Tak, ale wolałbym mieć pierwej szkatułkę, jeżeli to być może. Czy tu nie ma jakiego zręcznego *detektiw'a*? Ci ludzie mają na wszystko sposoby, umieją sobie zawsze poradzić.

— Mamy teraz właśnie jednego w Danesheldzie. Nie wiem po co tu przyjechał, ale widziałem że przechodził około moich okien, jestem pewny że to on. Powierzyłem mu raz pewien interes i byłem z niego bardzo zadowolniony.

Adwokat nie domyślał się że ten *detektiw* bawił już od tygodnia w pałacu, a Ravensbird słuchając go nie wiedział że mówi o panu Blair, londyńskim bankierze.

— Czy nie mógłbyś tu go przyprowadzić? panie Apperly?

— Sprobuję, milordzie, ale kto wie czy już nie wyjechał, a jeżeli jest jeszcze, to nie wiem doprawdy gdzie go szukać.

— Idź pan i staraj się go znaleźć. Muszę miéć tę szkatułkę... I mój syn w więzieniu, oskarżony o zbrodnię! Tego już tylko brakowało! Idź pan natychmiast, dodał lord Dane rozkazującym tonem, i nie wspominaj temu ajentowi o co idzie; ja sam mu to powiem.

Adwokat musiał spełnić jego życzenie, jednak nie mógł się oprzéć chęci wstąpienia na chwilę do pani Ravensbird, może przyczyniła się do tego ciekawość, miał nadzieję że się dowie od niéj różnych szczegółów o które nie śmiał się pytać lorda Dane. Bądź co bądź była to myśl szczęśliwa; w saloniku prócz pani Ravensbird zastał jeszcze pana Blair, który rozmawiał z nią pijąc sławny likier francuzki.

„Bankier lorda Dane, pan Blair, rzekła Zofia, i wymawiając: lorda, rzuciła na adwokata znaczące spojrzenie.

Pan Apperly słyszał już o tém że bankier jego wielmożności bawi już od kilku dni w Danesheldzie; ale... to przecie nie bankier. Spojrzał bystro w oczy ajenta policyjnego, który widząc że go poznał położył nieznacznie palec na ustach.

Misya pana Blair w Danesheldzie była już skończona. Skoro Lydney, na rozkaz squira Lester— wydany zbyt pośpiesznie, według zdania pana Blair, został uwięzionym, Bent mógł już daléj prowadzić sprawę. Blair czuł zresztą że nie będzie miał zupełnéj swobody działania, nie podzielał zdania lorda Dane pod wielu względami, i pożegnali się dość chłodno. Idąc do stacyi kolei wstąpił do *Gospody Marynarzy*, aby pożegnać panią Ravensbird, i wypić jeszcze kieliszek jéj smacznego likieru. Adwokat korzystając z chwilowego oddalenia się Zofii, uwiadomił go że jeden z jego klientów mieszkający obecnie w téj oberży, życzy sobie powierzyć pewien interes zręcznemu *detektiw'owi*, i zapytał czyby nie chciał się z nim rozmówić.

„Muszę jednak pana uprzedzić że byłbyś zniewolony występować przeciwko lordowi Dane, chociaż nie wiem dobrze o co idzie, powiedział adwokat. Czy osobiste uczucia pana dla lorda Dane, pozwolą panu działać przeciwko niemu?

— Urzędnik policyjny nie powinien rządzić się osobistemi uczuciami, gdy idzie o spełnienie powinności, odpowiedział pan Blair. Lord Dane żądał aby mu przysłano ajenta policyjnego z Londynu i mnie wybrano. Ukończyłem już przy nim moje zadanie, jeżeli więc ktoś inny zawezwie méj pomocy, nie mogę i nie powinienem mu jéj odmówić, choćby mi przyszło działać przeciw lordowi Dane lub któremubądź z lordów. Służę panu.

Udali się natychmiast na pierwsze piętro. Lord Dane stał przed kominkiem i rozmawiał z Ravensbird'em, który, mówiąc nawiasem, mógłby się zadziwić tą nagłą przemianą bankiera na ajenta policyjnego, gdyby nie to że nie dziwił się nigdy niczemu. Pan Apperly zwrócił wesoło uwagę lorda na pośpiech z jakim spełnił jego polecenie, i przedstawił mu pana Blair.

„Panie, odezwał się par Anglii, potrzebuję rady i pomocy. Zostałem pokrzywdzonym przez Herberta Dane—lorda Dane, jak go tu nazywają—czy mogę liczyć na pana?

— Nie wiem. Nie mogę dać stanowczéj odpowiedzi nie wiedząc o co idzie. Pan Home jeżeli się nie mylę.

— Nie panie, przybrałem to nazwisko zbiegiem okoliczności, ale teraz mogę je wymienić prawdziwe. Jestem lord Dane.

Blair przekonany że ma do czynienia z jakimś maniakiem, któremu potrzebniejsza była opieka lekarza niżeli pomoc urzędnika policyi, odchrząknął i spojrzał na pana Apperly.

„Jego Wielmożność mówi prawdę, rzekł adwokat.

— Jestem William Henryk lord Dane, jedyny syn pozostały po lordzie Dane, o którym prawdopodobnie musiałeś pan już słyszeć. Widzę że to pana dziwi, sądziłem panie Blair że ajenci policyjni nie dziwią się niczemu. Zapewne wiadomo także panu, że kapitan William Henryk Dane kilka lat temu spadł czy też został strąconym zdradziecko ze skalistego wybrzeża Danesheldu, i zabił się na miejscu; że ciało jego wyrzucone na brzeg przez fale, w kilka tygodni później, zostało złożone w grobach rodzinnych?

— Rzeczywiście, słyszałem o tém, odpowiedział pan Blair. Bruff, rządca pałacu—człowiek odpowiadający chętnie na zadawane mu pytania—opowiadał mi wszystkie ważniejsze wypadki zaszłe w rodzinie Dane, ale w najlepszych zamiarach: jest dumnym ze swoich panów, i najszczęśliwszym gdy może głosić ich przymioty.

— Otóż... ale usiądź pan proszę, rzekł lord Dane wskazując krzesło stojące naprzeciwko kanapy. Otóż ja, William Henryk Dane, nie zabiłem się spadając ze skały. Przyjaciel mój uratował mnie i zawiózł na swym yachtcie do Ameryki, gdzie bawiłem aż dotąd, przekonany, że spadkobiercą mego ojca jest brat mój starszy, Godfred Dane. Teraz muszę jeszcze powiedzieć, że to Herbert Dane, zepchnął mnie ze skały.

Pan Blair spojrzał na niego, ale nie wyrzekł ani słowa.

— Czytałem niekiedy angielskie gazety, mówił daléj lord Dane. Z nich to dowiedziałem się o śmierci rodziców, jak niemniéj że spadkobiercą godności i majątku jest Godfred lord Dane, i nie przyszło mi nawet na myśl że to może być kto inny a nie mój brat Godfred. Gdybym mógł domyśléć się że to mowa o Herbercie, i że ja jestem prawnym spadkobiercą, byłbym natychmiast wrócił do Anglii. Nie żyłem nigdy w zbyt dobrém porozumieniu z mym bratem Godfredem, uważałem sobie jednak za obowiązek napisać do niego po śmierci ojca; nie odebrałem nigdy odpowiedzi na mój list, co mnie bardzo rozgniewało... Ja także nie pisałem już więcéj. A! jakże łatwo posądzamy innych! ale też zawsze jesteśmy za to ukarani. W końcu czując się co raz słabszym, postanowiłem wrócić do rodzinnego kraju; nie słyszałem nigdy aby mój brat się ożenił, a zatém, po mnie, syn mój był najbliższym spadkobiercą. Wsiedliśmy na statek parowy *Wiatr*, który, jak panu już wiadomo, rozbił się przy tych brzegach. Mój biedny służący utonął, ja wraz z synem zostaliśmy cudem prawie ocaleni.

— Syn milorda? zapytał pan Blair, który dotychczas słuchał w milczeniu.

— Tak panie, mój syn... Gentleman aresztowany dziś z rozkazu Jerzego Lester, jako oskarżony o kradzież srebra, jest moim synem.

— On! William Lydney!

— Tak, on, William Lydney Dane, wkrótce zapewne jeden z parów Anglii.

— Na Jowisza! zawołał p..n Blair, niezdolny ukryć zadziwienia.

— Szczęściem, William miał przy sobie w chwili rozbicia okrętu pugilares zawierający weksle i inne papiery, nie potrzebowaliśmy więc kłopotać się o pieniądze. Dziwi to pana zapewne że nie dałem się poznać od razu, muszę więc wytłomaczyć mu powody. Przez kilka godzin czułem się tak słabym, tak wycieńczonym, że myślałem tylko o tem aby odpocząć i unikać wszelkiego rozdrażnienia. Nazajutrz, jeszcze pod wpływem wstrząśnienia doznanego w nocy, dowiedziałem się—nie potrzebuję mówić z jak wielkiém wzruszeniem i zdumieniem—że to nie brat mój Godfred ale Herbert Dane, był obecnie panem Danesheldu. Uznałem że mi potrzeba działać bardzo ostrożnie; prócz tego byłem bardzo cierpiący, i obawiałem się wszelkich wzruszeń, gdyż choroba moja wymaga największéj spokojności, a nakoniec spodziewałem się że morze wyrzuci moją szkatułkę, a mając w ręku zawarte w niéj papiery, nie potrzebowałem obawiać się żadnych trudności. Ożeniłem się w bardzo młodym jeszcze wieku, i małżeństwo moje było tajemne. Zaślubiłem w Kanadzie córkę negocyanta francuzkiego, ale bez wiedzy jéj ojca, którego nienawiść do Anglików była tak powszechnie znana, że niepodobna było pomyśléć o uzyskaniu jego zezwolenia. Żona moja pozostała i nadal w domu rodzicielskim, i nie zwracając na siebie podejrzeń, potrafiła pod różnemi pozorami wyjeżdżać z domu niekiedy nawet na czas dość długi. W czasie jednéj z tych wycieczek urodził się mój syn, któremu nadałem imiona Godfred William Lydney. Teść mój umarł pozostawiając bardzo znaczny majątek, i ten po zgonie méj żony, który nastąpił w tymże samym roku, spadł na mojego syna. Wymieniam tu tylko główne fakta, panie Blair, ponieważ nie mam czasu wchodzić w drobniejsze szczegóły.

— Nie miałem ważnych powodów do ukrywania mojego małżeństwa przed memi rodzicami, ale byłem pewny że mi będą czynić ostre wyrzuty za to że zaślubiłem córkę kupca. Powróciwszy do Danesheldu wyznałem lady Adelajdzie Erol, którą zamierzałem poślubić, że jestem wdowcem, ale nie wspomniałem nic jeszcze o synu, chciałem wtenczas dopiero odkryć całą prawdę tak jéj jak i mojéj rodzinie kiedyby małżeństwo nasze zostało już stanowczo ułożoném co zresztą byłoby niezbędném do uregulowania interesów pieniężnych. Wtedy właśnie zostałem strącony ze skały, w skutku zajścia z kuzynem moim, Herbertem Dane; przemówiliśmy się; w uniesieniu walki Herbert popchnął czy uderzył mnie tak silnie, iż spadłem w otchłań. Jestem jednak przekonany że nie uczynił tego rozmyślnie. Szczęśliwym trafem, stał w pobliżu w porcie yacht przyjaciela mego półkownika Moneton, który mnie wyratował, zabrał na pokład swego statku i odpłynąłem wraz z nim do Ameryki. Ale stare to już dzieje i nie ma co nad niemi się rozwodzić, przechodzę więc do tego o co mi głównie chodzi: wiem to dobrze iż szkatułka moja, wyratowana z rozbicia, znajduje się w pałacu Dane—jakim sposobem mógłbym ją odzyskać?

Pan Blair przysunął swoje krzesło do kanapy na któréj siedział lord Dane; czuł że teraz właśnie przyjdzie mu odegrać ważniejszą rolę.

„Najniezawodniéj Herbert Dane poznał tę szkatułkę, mówił daléj lord Dane. Dostałem ją od matki gdy pierwszy raz odjeżdżałem do pułku mego, który wtenczas stał w Kanadzie, i od téj chwili zawsze zamykałem w niéj najważniejsze papiery. Herbert miał lat dziesięć wówczas i przypominam sobie iż pomagał mi układać w szkatułce, a krzyż maltański i trzy V! umieszczone na wierzchu zwróciły jego uwagę. Przypatrywał im się długo, a na zapytanie co to znaczy, matka moja odpowiedziała mu, iż brat jéj pożyczył raz od niéj szkatułki, a następnie oddał tak przyozdobioną. Gdyby nawet szkatułka ta nie zawierała nader ważnych dla syna mego dokumentów, zawsze byłaby mi bardzo drogą jako pamiątka familijna.

— Racz, milordzie, odpowiedzieć na moje pytania, a najpierw, co zawierała ta szkatułka w chwili wyratowania jéj z rozbicia?

— Papiery i dokumenty dotyczące moich i syna mego posiadłości w Ameryce, oraz mój testament. Niektóre papiery możnaby zastąpić odpisami, ale utrata oryginału metryki mojéj ślubnéj i metryki urodzenia Williama, naraziłaby mnie na wielkie koszta i trudności, a potém zwróćcie panowie uwagę na to, iż w braku dokumentów dowodzących tożsamości i pochodzenia Williama, pan Herbert Dane stawałby się moim prawowitym następcą i zajmowałby nadal to wysokie stanowisko jakiém najniesprawiedliwiéj cieszy się od tak dawna. Właśnie utrata téj szkatułki zniewoliła mnie iż pozostałem u Ravensbird'a pod najścíślejszém incognito, gdyż, wierzajcie mi, panowie, gdyby nie to byłbym od razu dał się poznać jako lord Dane, przybywający dopominać się praw swoich. Dopiero w chwili gdy łódź ratunkowa dowiozła nas na wybrzeże dowiedziałem się iż znajdujemy się w Danesheld, dałem do zrozumienia Williamowi żeby nie mówił kto jesteśmy, dopokąd trochę sił nie odzyskam, a jak to już powiedziałem, zaraz nazajutrz dowiedziałem się o śmierci brata mego Godfryda i o obecności Herberta w moim pałacu. Następnie znów to zniknięcie szkatułki...

— Ależ Herbert Dane nie mógł w żaden sposób wiedzieć co się w niéj zawierało, zauważył pan Blair, i doprawdy nie mogę pojąć co go skłoniło do przywłaszczania jéj sobie.

— Zdaje mi się iż sam widok téj szkatułki zaciekawił go i przeraził zarazem, zobaczywszy ją, obawiał się aby przypadkiem nie rzuciła nagle światła na przeszłość i na udział jego w mojéj mniemanéj śmierci. Człowiek któremu coś ciąży na sumieniu, zawsze jest niespokojny i ostrożny; gdy Herbert spostrzegł tę szkatułkę, mimowolnie przypomniał mnie sobie, i obawa jakaś zbudziła się w jego duszy—o to jak tłomaczę sobie jego postąpienie... A może lady Adelajda wyjawiła mu tajemnicę o mojém ożenieniu, i lękał się aby nie zjawił się nagle jakiś spadkobierca z Nowego Świata, w celu wyrzucenia go z nieprawnie posiadanego tytułu i majątku.

— Milord wspomniał przed chwilą o liście pisanym do brata, czy sądzi Wasza Wielmożność że pan Herbert odebrał go a tém samém wiedział że zostajesz przy życiu?

— Tego nie wiem. Znasz pan teraz moją historyą—którą pan Apperly i Ravensbird poświadczyć mogą—czy jesteś gotów dopomódz mi do odzyskania szkatułki?

— Bez wątpienia.

— I zechcesz pan wziąść na swoją odpowiedzialność uwolnienie mego syna?

— Dobrze, z warunkiem że mi zaufa i oznajmi co było powodem iż minionéj nocy znajdował się w domu pana Lester, razem z tymi trzema ludźmi.

Lord Dane dumnie podniósł głowę. „Nie wiem co mogło go do tego skłonić, wiem tylko że William jest najuczciwszym, najszlachetniejszym człowiekiem. Od kilku już dni czuwał prawie bez przerwy nad nieszczęśliwym Wilfridem Lester z którym ojciec tak nieludzko wychodzi, aby tego biedaka utrzymać na prawéj drodze. Zdaje mi się, mógłbym ręczyć niemal, iż dzisiejszéj nocy toż samo miał na celu. Napiszę parę słówek do Williama, zalecając aby nic nie ukrywał przed panem; wszak mogę liczyć na to iż pan nie nadużyjesz jego zaufania, na szkodę biednego Wilfrida Lester?

— Najzupełniéj; będę go słuchał jak powiernik a nie jako ajent policyjny. Najlepiéj będzie gdy zaraz udam się do syna pana, a jednocześnie pomyślę jak postąpić w sprawie szkatułki, i za powrotem oznajmię Waszéj Wielmożności co czynić zamierzam.

W tym czasie William Lydney czekał cierpliwie w sali dla obwinionych, w biórze policyi. Nie chcąc niepokoić ojca wiadomością o swojém aresztowaniu, zawiadomił tylko pana Apperly, i gdy ktoś drzwi sali otwierał, pewny był że to adwokat przychodzi; był to jednak tylko pan Blair, bankier lorda Dane.

„Przynoszę panu parę słówek od lorda Dane, rzekł pan Blair.

— Od kogo? jak pan mówiłeś? zapytał William.

— Od prawdziwego lorda Dane, odrzekł cicho pan Blair, i wiem że mam zaszczyt mówić z przyszłym lordem. Ojciec pana poleca mu abyś mi zaufał zupełnie; zawiadomił mnie o wszystkiém.... Może będę mógł wrócić panu wolność.

— Pan! zawołał William. To niepodobna! Wszak jesteś pan przyjacielem... tego pana z pałacu... jego bankierem...

— Zarówno jak pan i ja także dałem się poznać tu pod przybraném nazwiskiem.

Nie jestem bynajmniéj bankierem lorda Dane—i nie wiem nawet kto mi przyczepił ten tytuł—ale jednym z głównych „detectives“ policyi londyńskiéj. Ojciec pana zażądał moich usług i pomocy, pragnę zadość uczynić jego żądaniu. I dla tego najpierw chciéj pan odpowiedzieć mi co robiłeś ostatniéj nocy w domu pana Lester, w tak złém towarzystwie?

— Nie mogę panu żadnéj dać odpowiedzi na to pytanie.

— Więc nie byłeś pan z nimi?... nie przyszedłeś razem?...

— Ja! zawołał William Dane z nieopisaną dumą; czyliż przed chwilą nie powiedziałeś pan że znasz moją godność i stanowisko!..! Nigdy jeszcze nie zapomniałem co winien jestem sam sobie i nie potrzebuję się rumienić za żaden z moich postępków.

— Czy zechcesz pan powiedzieć mi dla czego nie raczysz mi zaufać?

— I owszem. Nie mówię nic, bo mówiąc prawdę naraziłbym kogoś innego.

— Rozumiem, odnosi się to do Wilfrida Lester. Daję więc panu słowo że cokolwiekbyś pan powiedział o nim, nie będę tego dochodził. Nie daremnie kilka już dni bawię w Danesheld; dowiedziałem się już wielu sprawek i wielu plotek, a o tym nieszczęśliwym młodzieńcu wiem daleko więcéj niż pan przypuszczasz. Wszak z obowiązku powinienem starać się wiedzieć wszystko o wszystkich. Pewny jestem iż młody Lester odgrywał główną rolę w tym nocnym dramacie, z którym pan nic nie masz wspólnego; choć przyznaję iż nie mogę pojąć aby dobrze wychowany gentleman mógł upaść tak nizko, aby kraść srebra własnego ojca.

William zrozumiał teraz iż dla dobra Wilfrida powinien całą prawdę wyjawić tak doświadczonemu ajentowi; opowiedział więc wszystko z najdrobniejszemi szczegółami.

— Trzeba będzie wszystko to powtórzyć panu Lester, rzekł pan Blair; przez sam wzgląd na syna przestanie dochodzić całéj téj sprawy.

— Kto wie czy właśnie z tego powodu żarliwiéj jeszcze popierać jej nie będzie, gdyż zostaje w wielkiém nieporozumieniu z synem. Nie, panie, choćby mi przyszło zostawać tu nie wiem jak długo, nie zdradzę człowieka któremu winien jestem życie ojca mego i moje.

— Z jakim spokojem znosisz pan swoje zaaresztowanie! rzekł pan Blair zadziwiony pogodą umysłu téj ofiary przyjaźni.

— Bo kto ma czyste sumienie, wszędzie i zawsze spokojnym być może, a uczyniony mi zarzut wcale mnie nie zatrważa. Dość mi jest oznajmić że prawdziwy lord Dane jest obecnym w *Gospodzie Marynarzy*, że powrócił do Anglii odebrać i zająć zależny mu tytuł i stanowisko i wylegitymować mnie jako swego syna, a całe Danesheld śmiać się będzie z téj śmiesznéj pomyłki pana Lester i wynikłego z niéj zatrzymania mnie w urzędzie policyjnym, odrzekł pan Dane.

— Co do niesłusznego zaaresztowania pana, temu sam zaradzić mogę, proszę chodź pan ze mną.

I pan Blair zaprowadził go do pokoju w którym pan Bent siedział przybiórku i pisał. Zobaczywszy swego więźnia, inspektor podniósł się prędko. Wprawdzie czuł jakiś pociąg do młodego Lydney'a, ale ten nie sięgał tak daleko, aby mu dozwolić wyjść z aresztu w którym polecono go zamknąć.

— Chcę pana uwolnić od twego więźnia, rzekł spokojnie pan Blair. Gentleman ten wykazał mi dowody swéj niewinności, trzeba go uwolnić.

— Gdzież jest rozkaz uwolnienia? zapytał po chwili z zadziwieniem pan Bent.

— Daję go panu w téj chwili i powinieneś spełnić mój rozkaz.

— Ale cóż ja powiem lordowi Dane i squirowi Lester? zawołał nieszczęśliwy inspektor, bojąc się aby nie wpadł między młotek a kowadło. Będą mnie prześladować i dokuczać mi na każdym kroku.

— Złożysz pan wszystko n a mnie, odrzekł Blair Proszę, przejdź pan, dodał zwracając się do pana Lydney.

I to mówiąc otworzył drzwi i odsunął się na bok, aby pan Dane przeszedł pierwszy, a jego pełen uszanowania ukłon, wrócił uwagę pana Bent, który patrzył na to z osłupieniem. William odwrócił się do niego, mówiąc z uśmiechem:

— Wszystko dobrze idzie, panie Bent, i sam to przyznasz nie długo.

Rozdział XIV.

Kryjówka.

W gmnieniu oka rozeszła się w Danesheld wieść o zaaresztowaniu pana Lydney, i o niczém innem nie mówiono w mieście, można więc sobie łatwo wyobrazić niesłychane zadziwienie wszystkich, gdy go zobaczono idącego pod rękę z bankierem lorda Dane. Powiedziano sobie iż widać bogaty bankier wystawił za niego wysoką kaucyę; mnóstwo osób szło za nimi, i cały orszak odprowadził ich do hotelu. Jakiś usłużny przyjaciel pobiegł co żywo zawiadomić o tém squir'a Lester.

Zawracając na rogu ulicy ku *Gospodzie Marynarzy*, pan Blair wraz ze swoim towarzyszem spotkali się oko w oko z lordem Dane. Nie probujemy nawet opisać zadziwienia Jego Wielmożności, na widok uwolnionego pana Lydney; własnym nie wierzył oczom. Skinął na pana Blair, nie pojmując co tenże dotąd robi w Danesheld; a dnia tego wcale nie był w dobrym humorze, drażniło go zupełne fiasco wynikłe z przybycia sprowadzonego do pałacu ajenta policyjnego, czuł że się okrył śmiesznością wywołując „tyle hałasu o nic."

— Co się to znaczy? zapytał wyniośle; kto się ośmielił kazać wypuścić na wolność tego człowieka?

Pan Blair zwrócił się ku niemu, a Lydney skłonił się lekko- -co lord Dane wziął za szykanę i zwolna poszedł daléj.

— Już po indagacyi odbytéj u squira Lester, dowiedziałem się pewnych rzeczy odnoszących się do pana Lydney, skutkiem tego niepodobna było trzymać go w areszcie, uważałem więc sobie za obowiązek kazać go uwolnić.

— Pewnych rzeczy? co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Że pan Lydney nic nie zawinił...

— Nic nie zawinił!... chyba rozum tracisz panie Blair. Nigdy nie może być większych dowodów winy... Czy wiesz pan, że uwalniając obwinionego na którym tak wielka cięży wina, rzucasz wyzwanie nie tylko nam tu wszystkim, mnie i panu Lester, ale nawet policyi i prawu?...

— Niech milord wierzy że zniewolony byłem tak postąpić, gdy fakta o jakich mówię się wyjaśnią...

— Fakta się wyjaśnią! przerwał lord Dane rozgniewany, nie słuchając daléj, jakież fakta mogą usprawiedliwić nieposzanowanie postanowień sądu... i uwolnienie przestępcy!... Nie pojmuję jak Bent śmiał tolerować.

— Bent nie mógł stawić oporu, nie wolno mu nie spełnić rozkazu jaki mu wydaję.

— No! zobaczymy czy wolno mu mnie nie słuchać! krzyknął z gniewem lord Dane. Wydam mu rozkaz aby natychmiast zaaresztował napowrót tego przestępcę, pod karą wydalenia ze służby.

— Wybaczy Wasza Wielmożność że pozwolę sobie zwrócić jego uwagę, iż trudziłby się daremnie. Dopokąd pozostaję w Danesheld, ja jestem tu naczelnikiem policyi i Bent mojéj tylko podlega władzy.

Lord Dane zrozumiał że pan Blair miał prawo za sobą. Nigdy jeszcze nikt nie stawił mu tak jawnego oporu, to też stał prawie osłupiały nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Co pan tu jeszcze robisz? zapytał nareszcie. Już od godziny opuściłeś pan mój pałac, mówiąc że śpieszysz się na kolej?

— Rzeczywiście, ale zanim doszedłem do stacyi, spotkałem prawnika tutejszego, pana Apperly, który prosił abym niezwłocznie zajął się pewną sprawą. Wierzaj mi, milordzie, nie dla sprzeciwienia się twoim rozkazom kazałem uwolnić tego młodzieńca, cóż mogłoby mnie do tego skłonić? ale dowiedziałem się że postanowienie aresztowania było zupełnie bezzasadne, i że nie jeden z nas mógłby gorzko pożałować że go podpisał. Ale muszę już pożegnać Waszą Wielmożność, bo nader ważna sprawa nie dozwala mi tracić ani chwili czasu.

Ukłonił się i odszedł a lord Dane pozostał zły i pomieszany. Jakto, ośmielano się lekceważyć go, pana i zwierzchnika téj okolicy!... chyba zapadły się pod ziemię wszelkie prawa i postanowienia społeczne!...

Jego Wielmożność pobiegł prędko do bióra policyi, i spotkał wychodzącego właśnie Benta. „Nie mam żadnéj władzy póki pan Blair jest w Danesheld" rzekł mu zakłopotany inspektor—a było to najlepsze usprawiedliwienie.

Tegoż wieczora miał miejsce w Danesheld, od dawna już postanowiony obiad polityczny, pod prezydencyą jednego z okolicznych dygnitarzy. Wiceprezesami byli lord Dane i squire Lester, a obydwa nie byli zupełnie w usposobieniu odpowiedniém temu zadaniu. Lydney był wypuszczony na wolność, tak lord Dane, jak tém więcéj pan Lester który nie miał sposobności rozmówić się z Bent'em, nie mogli pojąć co mogło być tego powodem.

Podczas gdy oni siedzieli przy stole, pan Apperly szedł prędko z zamiarem odwiedzenia starego Bruff'a, a traf szczęśliwy zrządził—może w nagrodę jego grzeczności—że spotkał go właśnie przed bramą pałacową.

— Dobry wieczór panu; wiedziałem już żeś pan powrócił, rzekł wesoło intendent. Ale wszak nie przychodzisz pan widzieć się z milordem? nie ma go w domu; jest na tym wielkim obiedzie politycznym.

— Wiem, ale przychodzę tylko do ciebie, Bruffie; abyś poszedł ze mną na przechadzkę.

— Na przechadzkę?

— Tak, z polecenia lorda Dane. Weź kapelusz, idąc objaśnię cię o co chodzi. Ale nikomu w pałacu ani słówka nie powiesz o tém.

Bruff poszedł po kapelusz i podążył za panem Apperly, który zwrócił się ku drodze do Daneshel d Szedł tak prędko że poważny i otyły intendent zaledwie mógł mu dorównać.

— Ale milord nie zasłabł przecie! zapytał nagle Bruff, wnosząc że jeźli nie szło o jaki zakład, to chyba jakiś wypadek spotykający lorda Dane, mógłby usprawiedliwić chód tak szybki.—Cóż lord żąda odemnie?

— Lord Dane jest bardzo chory, odrzekł poważnie pan Apperly, i nie mam nadziei... aby odzyskał zdrowie.

Bruff stanął jak wryty—przerażająca myśl przyszła mu do głowy.

— Na miłość boską! powiedz mi pan prawdę; przecież nie umarł?....

— Nie, nie; chodź, przekonasz się że żyje. Chce żebyś przyszedł i nie ma czasu do stracenia... Powiedziałem ci tylko że chory nie zaś że nie żyje.

— Przypomniała mi się pewna noc, i bałem się czy nie umarł, odrzekł Bruff jak mógł przyśpieszając kroku. Będzie temu z tydzień, milord poszedł przejść się po wyżynach wybrzeża, księżyc świecił prześlicznie; widziałem milorda wracającego do pałacu. Panie Apperly, widząc go wtedy pomyślałbyś także iż patrzysz na nieboszczyka. Twarz jego była sino blada, i napiętnowana wyrazem tak strasznego przerażenia, iż nie śmiałem przystąpić do niego. Wyglądał tak jakby...

— Jakby zobaczył widmo.

— Widmo!... A tak! chciałem powiedzieć jak człowiek dotknięty śmiertelną chorobą. Może i dziś coś podobnego nastąpiło. Daj Boże! aby to nie pociągnęło za sobą złych następstw.

— Sądzę że nie jesteś znów tak bezgranicznie przywiązany do Jego Wielmożności?

— No, zapewne że nie tyle co do dawnéj rodziny, odrzekł Bruff z pewném wzruszeniem. Tak kochałem starego lorda, a szczególniéj pana Harrego. Nie mogłem nigdy równie silnie przywiązać się do pana Herberta... Ale, cóż pan chcesz, tamci nie żyją, a on jest teraz lordem Dane... a zresztą to dobry pan.

— Powiedz mi, Bruffie, gdyby też tak dawna rodzina—lub jeden z twoich panów—powstał nagle z grobu i ożył, co uważałbyś sobie za powinność: czy jemu służyć i być posłusznym, czy obecnemu lordowi Dane?

— Pocieszne pytanie! toć przecie w takim razie obecny lord nie byłby lordem Dane, odrzekł Bruff po chwili głębokiego namysłu. Ale na co się zdało

mówić o niepodobieństwach, panie Apperly. Czyż mógłbym służyć i słuchać kogo bądź innego jak moich starych panów, gdyby Bóg nie był zabrał ich ze świata!

Doszli do *Gospody Marynarskiéj*, pan Apperly się zatrzymał.

„Czyż milord tak nagle i ciężko zachorował że go aż tu przenieść musiano? zapytał przerażony Bruff; czyż nie można było przenieść go do pałacu, to już tak blizko ztąd?...

— Chodźmy! odrzekł tylko adwokat.

Wprowadził go na pierwsze piętro a następnie do pokoju chorego. Bruff rozglądał się niespokojnie do koła. Widział młodgo pana Lydney, Ravensbirda, pana Blair i kogoś jeszcze na kanapie; na ostatniego nie zwracał prawie uwagi. Już sama obecność tych dwóch panów, z których jeden powinienby być w Londynie a drugi w więzieniu, wprawiła go prawie w osłupienie.

— Gdzież jest milord? zawołał.

— Tu! odrzekł pan Apperly.

Lord Dane powstał uśmiechając się; Bruff patrzył na niego jakby nieprzytomny.

— Jakto? nie poznajesz mnie, Bruff'ie? widzisz ja żyję...

— Tak... to żywy obraz pana Harrego... tylko włosy się zmieniły... wyszeptał pomieszany intendent pałacu, wodząc oczami po wszystkich z wyrazem niewysłowionego niepokoju i przerażenia. Tak... ale to niepodobna... to być nie może...

— A jednak jest. Nie zabiłem się spadłszy z nadbrzeżnych wyżyn i żyję dotąd. Myślałem że poznasz mnie od razu, Bruff'ie.

— Ach! to głos pana Harrego! zawołał Bruff, głos mego dawnego pana.. poznałbym go wśród tysiąca innych.

I oczy jego zapełniły się łzami, ręce drżały ze wzruszenia, padł na kolana przed lordem Dane.

— Mój pan! mój prawdziwy pan! och! poznaję milorda! wołał z płaczem. Stary Bruff dość już żył na świecie, skoro ujrzy cię, milordzie, panem dziedzictwa twoich przódków.

Lord Dane wziął go za rękę i podniósł, mówiąc: „Nie długo cieszyć się niém będę, poczciwy Bruff'ie, i spocznę tam gdzie myśleliście iż spoczywam od lat dziesięciu... w naszych grobach rodzinnych. Ale, dodał, dając znak synowi żeby się zbliżył—spodziewam się że synowi memu równie wiernie służyć będziesz. To twój przyszły pan, poczciwy Bruff'ie.

— Więc jest to...

— Syn mój, Gofred William Lydney Dane; bądź mu wiernym i tak przywiązanym jak byłeś do nas.

— Mówiłem zaraz że wygląda na pana! zawołał Bruff, a radość błyszczała w jego oczach. Jak tylko pierwszy raz pan Lydney przyszedł do pałacu, zaraz poznałem że to prawdziwy gentleman. Miss Dane miała słuszność mówiąc żeś pan podobny do lady Dane... rzeczywiście podobieństwo to istnieje.

— Do mojéj matki? prawda, i ja to uważałem, choć z drugiéj strony ma rysy Dane'ów... Bruff'ie, chcę abyś mi oddał pewną przysługę, czy zgoda?

— Ach! milordzie, życie moje należy do ciebie i syna twego—rozkazuj!

— Ale zastanów się; musiałbyś dopuścić się podstępu względem swego dotychczasowego pana.

— Trudno, jeźli tak każesz milordzie. Zapewne nie posądzi mnie Wasza Wysokość, że skoro żyjesz mogłbym kogokolwiek innego uznawać panem.

— Dobrze. Wiesz jaki zawsze miałem wstręt do wszelkiego kłamstwa i podstępu, ale trzeba mnie mieć za wytłomaczonego, jeźli teraz zmuszony jestem uciec się do nich... On tak długo względem mnie posługiwał się niemi... I nie pytasz kto mnie zrzucił ze skał nadmorskich?

— A milordzie!... zawołał tylko; bał się odgadnąć.

— Herbert Dane, ale nie uczynił tego podstępem... W tym razie o tyle zawinił iż zachował to w tajemnicy i uchodząc za niewinnego, pozwolił posądzać Ravensbirda. Ale dawne to już dzieje, dajmy temu pokój. Teraz przedewszystkiém chodzi mi o tę szkatułkę, gdzież ona jest, Bruff'ie?

— Ta któréj tak poszukuje młody pan? nie wiem, nigdy jéj nie widziałem.

— Szkatułka ta do mnie należy, i mam powody mniemać że pan Herbert Dane ukrył ją gdzieś w pałacu, a pan Blair powiada że możnaby wynieść ją dziś, w nieobecności twego pana. A powinniśmy ślepo iść za jego zdaniem, bo jeden z najpierwszych ajentów policyi londyńskiéj, jest najkompetentniejszym sędzią w podobnych sprawach.

Biedny Bruff aż się zaczerwienił. „Jakto, myślał sobie, więc ten grzeczniutki bankier, który tak umiał zjednać mnie sobie i tak często wyciągał na słówka, jest ajentem policyjnym!... A o czémże ja z nim nie mówiłem!... I owa szkatułka?... najmniéj sto razy powiedziałem że jéj nie ma w pałacu.

Pan Apperly objaśnił go w krótkich słowach o co chodzi, objawiając, że w pałacu są skrytki i kryjówki; coraz więcéj zdziwiony, Bruff czuł że pot kroplami spływa mu z czoła.

Nie było czasu do stracenia, chcąc aby skutek uwieńczył przedsięwzięcie.

Intendent i pan Apperly poszli zaraz do pałacu, a w pewnéj za nimi odległości szedł Ravensbird z taczkami. W obecnym stanie rzeczy najlepiéj było nie wtajemniczać w tę sprawę osób obcych.

— Przyszedłszy do pałacu, Bruff wziął klucze od „sali pośmiertnéj" i przeprowadził pana Apperly wązkiém przejściem po za pałacem, prawie nie uczęszczaném. Nikt ich nie widział wchodzących i nie domyślał się ich obecności; Ravensbird z taczkami czekał w ciemnym kąciku.

Pan Apperly znalazł niebawem sprężynę ukrytą w ścianie gabinetu w którym stały przyrządy katafalkowe, o któréj istnieniu zawiadomił go kiedyś jeszcze stary lord Dane; ściana się rozstąpiła i ukazał się mały pokoik, obejmujący siedm stóp kwadratowych rozległości. W pokoiku nie było nic—prócz poszukiwanéj szkatułki; stała tuż prawie przy wejściu.

— Aha!... zawołał pan Apperly.

Bruff bacznie przyglądał się szkatułce—dotąd nie dowierzał aby mogła znajdować się w pałacu—to też przysięgał sobie odtąd nie ręczyć za nic w świecie.

— A! pojmuję, rzekł do pana Apperly, musiał pan Dane zaciągnąć ją tu zaraz po jéj przyniesieniu, podczas gdy dozorowałem parobków młynarza... ale jak, u licha! zdołał ją poruszyć, tego nie rozumiem.

— Ciekawy jestem gdzie prowadzą te drzwiczki? rzekł adwokat wskazując palcem w róg pokoju. A chyba do grobów pod pałacem.

Pan Blair stał w pobliżu Ravensbirda, gdyż przytomność jego byłaby niezbędną w razie jakiegoś zajścia z miejscową policyą.

Ale nie zaszło nic podobnego. Złożono szkatułkę na taczki, nakryto ją grubem przykryciem w celu ukrycia przed wzrokiem ciekawych przechodni, zwrócili się ku „Gospodzie Marynarzy". Bruff pozostał w pałacu. Wszak obecnie zostawał jeszcze w służbie u Herberta Dane.

Gdy starannie osłoniętą szkatułkę, wniesiono nareszcie i ustawiono w pokoju lorda Dane, i tenże ujrzał ją całą i nienaruszoną, odetchnął swobodnie i spojrzał na syna, jedynego prawowitego spadkobiercę rodu Dane'ów, któremu praw tych nikt odtąd nie będzie mógł zaprzeczać.

— Dzięki niebu, jestem spokojny, ale proszę cię nie odkrywaj jeszcze naszéj tajemnicy. Chcę czekać odpowiedniéj chwili i sam cię przedstawić, więc przynajmniéj do jutra jeszcze pozostań Williamem Lydney.

— Najchętniéj, kochany ojcze, odrzekł śmiejąc się młody człowiek, pozostanę tak choćby i kilka dni jeszcze, bo przyznaję bawi mnie ten żarcik.

Wziął kapelusz i poszedł szukać Wilfrida Lester; nie widział go cały dzień i mimowolnie niepokoił się o niego.

Choć była to daleko dłuższa droga, poszedł w stronę wiodącą do Danesheld-Hall, która jakoś nieprzepartym urokiem pociągała go ku sobie. Wszedłszy na ścieżkę wijącą się wśród lasu, usłyszał podniesione głosy, jakby dwóch sprzeczających się z sobą osób—był to Wilfrid i jego siostra. Marya coraz więcéj niespokojna, wyszła chcąc spotkać gdzie brata, jakoż ujrzała go wracającego z Grande Croix. Przyniosła mu trochę pieniędzy—wszystko co miała—i zaklinała aby opuścił tę okolicę póki niebezpieczeństwo nie minie. Wilfrid odpowiadał szorstko i oburkliwie. Kochał bardzo siostrę i byłby oddał wszystko w świecie żeby ukryć przed siostrą swoje postępowanie. Gwałtownemi zaprzeczeniami zbijał naleganie Maryi, aż biedna dziewczyna zalała się łzami, mówiąc iż może więcéj zważałby na jéj przełożenia, gdyby wiedział że dla ocalenia go, gotowa była poświęcić siebie i zaślubić lorda Dane.

— Czy to być może! zawołał Wilfrid, właśnie w chwili gdy Lydney się ukazał.

Zamilkli oboje. Wilfrid nie wiedział nic o jego zaaresztowaniu, a Marya myślała iż został wypuszczony za kaucyą. Zawstydziła się że ją zobaczył tak zapłakaną, pan Lydney znowu milczał, nie wiedząc co było powodem jéj rozpaczy. Spoglądał tylko to na brata to na siostrę.

— A! jest czemu się dziwić! zawołał z oburzeniem Wilfrid. Otóż teraz chcą ją koniecznie wydać za lorda Dane, aby tym sposobem pozbyć się z Hallu nas obojga. Jaka dowcipna kombinacya!...

— Ach! Wilfridzie! zawołała zawstydzona Marya.

— Szedłem właśnie do ciebie, Wilfridzie, rzekł Lydney, chcę z tobą pomówić.

— Dobrze, razem wrócimy do domu, odrzekł żywo Wilfrid, uradowany że się uwolni od próśb i napomnień Maryi. Proszę cię tylko, bądź łaskaw odprowadzić siostrę moją na brzeg lasu; ja nie życzę sobie iść w tamtą stronę; zaczekam tu na ciebie.

Pożegnana w ten sposób, Marya musiała odejść. Lydney poszedł za nią.

(d. c. n.)



Opis do N-ru 14.

N. 1. Płaszczyk wiosenny.

Na chłodne dni wiosenne nowością mody są od angielek przyjęte, bardzo długie i zupełnie luźne paltoty z szerokiemi rękawami, robione z tarlatanów lub innych szkockich materyałów, a podszyte flanelką, materyą albo atłasem przeważającego w kratach koloru. Płaszczyki takie upowszechnione pomiędzy arystokracyą angielską zwykle nie zapinają się z przodu tylko zarzucają się w sposób na ryc. 1 wskazany.

N. 2. Amazonka. Do amazonek bardzo modne są białe [illegible]enne kamizelki, wyglądające z pod stanika z długą baskiną, zapinanego tylko w górze. Kołnierzyk płócienny i krawatka koronkowa zwana „Marquise" dopełniają ubranie.

N. 3—4. Kapelusze wiosenne ubrane koronką.

Dla młodych osób na koncerta, wizyty lub do teatru, z nastaniem pięknych dni wiosennych, modne będą białe słomkowe kapelusze ubrane koronką i kwiatami białemi. Lecz gdy pierwszą marszczkę ujrzemy na twarzy unikajmy białych kapeluszy które ją uwydatnią, gdy przeciwnie przy czarnych zręcznie upiętych koronkach, trochę starsze twarze zwykle zyskują. Modne woalki są z gazy szafirowej lub mirtowego koloru, szerokie 30, a długie 250 do 300 cent., które zakłada się na twarz krzyżuje z tyłu, a końce zręcznie zapina z przodu.

N. 5—6. Koronka irlandzka na tle tiulowem.

Wolanty szerokie koronkowe, które przez pewien czas prawie zupełnie były zarzucone, wróciły do mody i stanowią prawie konieczną ozdobę sukien na proszone obiady, wieczory lub wesela. Garnirują niemi tak zwane dworskie treny, a do trenów gładkich otwartych z przodu, zdobią przód spódnicy. Ryc. 5 przedstawia w zmniejszeniu wolant koronkowy, robiony ręcznie na tle białem lub czarnem tiulowem, rycina 6 jedną gałązkę w naturalnej wielkości, a na arkuszu z krojami podajemy na Fig. 65 część całego deseniu.

N. 7 i ryc. 12 w N-rze 15. Kołnierzyk negliżowy z koronką szydełkową.

Dwa centymetry szeroką a 85 — 90 cent. długą, wązko obrąbioną batystową falbankę, oszytą 3 cent. szeroką szydełkową koronką, układa się w kontrafałdy, wszywa w listewkę 1 cent. szeroką, która przyszywa się do szmizetki. Wyraźną tylko nieco zwężoną próbkę koronki, (którą zaczyna się na o. 28 i robi poprzecznie tam i napowrót) podamy w N. 15 na ryc. 12.

N. 8 Kołnierzyk negliżowy z chusteczki trójkątnej.

Trójkątny kawałek batystu, trzymający w brzegach prostych 37 cent. długości oszywa się przy brzegu skośnym i 12 centym. przy końcach z przodu, koronką niciana szydełkową, albo wywodzoną na tiulu, 2 cent. szeroką, lekko przyfałdowaną, której przyszycie przykrywa stębnowana, 1/2 cent. szeroka listewka. Potem chusteczkę zwija się w sposób na ryc. 8 wskazany, i zapina w ten sposób ażeby koronka stanowiła fryzkę w górę stojącą. Brzeg koronki może być wywiedziony kolorowo.

N. 11—12. Patarafka pod lampę. Haft kolorowy.

Okrągła patarafka mająca 33 cent. średnicy, wiedziona jest do środka w 12 zębów, z których dwa podajemy w naturalnej wielkości, na próbce deseniu ryc. 12. Model odrobiony był z sukna ponsowego, na którym krata odznaczona była cienkim, szafirowym jedwabnym sznureczkiem, przyszytym do tła na skrzyżowaniu linii, krzyżykami z nitki złotej. Brzegi deseniu odznaczone były cienką, niebieską szenelą, przyszytą do tła krytemi ściegami; gałązki w zębach mają listki wywiedzone trawno zieloną filozelą, środki zapełnione ściegiem cerowanym, jedwabiem niebieskim, z trójkątem zapełnionym nitką złotą. Gałązki i potrójne listki wyszyć jedwabiem brunatnym, a krzyże na kracie u dołu filozelą trawną. Patarafkę podszywa się tekturą i jedwabną podszewką, a brzeg oszywa grubym jedwabnym sznurem.

N. 34 i ryc. 14 w N. 15 Tygodnika. Sukienka z karczkiem dla dziewczynki lat 2 — 3. Krój N. XIV Fig. 40 — 43.

Rycina 34 przedstawia białą kaszmirową sukienkę, ozdobioną pliskami i szlaczkami haftowanemi, 3 cent. szerokiemi, których przyszycie pokrywały wązkie kaszmirowe listewki, albo pikowe torsadki. Model do ryciny 14 w N. 15, był odrobiony z kaszmiru różowego, ozdobiony pliskami i szlaczkami białemi, wyszytemi ściegiem krzyżowym, jedwabiem różowym. Podszewkę sukienki przykrawa się gładko, podług Fig. 40—41, a wierzch układa się na takowej w kontrafałdy, na które w środku pleców i przy prostych brzegach przodu, dodaje się potrzebną ilość materyału. Gładki karczek i rękawki szyją się także na podszewce. Część prosta dopełniająca plecy, ma 11 cent. długości a 150 szerokości; przyszycie przykrywa listwa 6 cent szeroka muślinem podszyta, z przodu tylko na pierwszą fałdę zachodząca.

N. 37. Gorset długi dla osób średniej tuszy.

Ryc. 37 przedstawia piękny różowy atłasowy gorset, na białej podszewce; stębnówki do wewleczenia i przyszycie fiszbinów, daje się białym jedwabiem. Brzeg górny zdobi koronka przewleczona różową wstążeczką.

N. 38. Kokarda do kołnierzyka, ułożona z chusteczki.

Chusteczkę białą fularową ze szlakiem kolorowym, trzymającą 40 cent. w kwadrat, oszytą koronką 1 i pół cent. szeroką, układa się w ten sposób na żabotową kokardę iż na dolne większe końce przemarszcza się skośnie dwa rogi od środka bocznych brzegów do środka brzegu dolnego. Następnie pozostałe rogi chusteczki przemarszcza się także, lecz tylko do 12 cent. bocznej długości i układa na wierzchu poprzedzających; z pozostałego zaś środka i części brzegu układa się wskazaną na rycinie kokardę, a zbyteczną część układa się plasko i fastryguje od spodu, co przy miękkości fulara łatwo zręcznie wykonać.

N. 39 — 40. Ubranie strojne ze stanikiem kaftaniczkowym. Krój N. XX Fig. 61.

Od lat kilku zarzucone kaftaniczkowe staniki obecnie wracają do mody i będą zapewno chętnie noszone przez osoby młode, mające zręczną figurę, bo są zarazem strojne i praktyczne. Do takiego ściśle do figury zrobionego czarnego aksamitnego kaftaniczka, z przodu pod szyję zapinanego na guziczki, można nosić każdą ciemną wełnianą lub jedwabną spódnicę. Jeżeli stanik służyć ma tylko do jednej sukni, wówczas robiemy go z atłasu lub aksamitu takiego samego koloru i tym samym materyałem ubieramy spódnicę. Model do ryc. 39 odrobiony był z materyi niebieskiej i ciemniejszego aksamitu; stanik aksamitny w karo wycięty ma z przodu i przy plecach wstawione części z materyi, poprzecznie fałdowane i śpiczasto zakończone. Zapięcie niewidzialne urządza z jednej strony przy wstawionej z przodu materyi, na haftki przyszyte od spodu. Podług modelu podanego na Fig. 61 łatwo dopasować każdą dobrą formę stanika z baskiną.



Nr. 1. Płaszczyk wiosenny. Nr. 2. Amazonka.

Opis do N-ru 15.

N. 1—4. Serwetka z siatki gipiurowej i kolorowem wyszyciem.

Nowość stanowią serwetki z siatki gipiurowej wywodzone kolorową bawełną odpowiednie do mebli na małe stoliki; ryc. 1 przedstawia w naturalnej wielkości czwartą część jednego z czterech kwadratów, liczą ych po 14 o. i stanowiących tło serwetki ryc. 2; ząbki i kółka wyszywa się podług ryc. 13 i 14 w N. 14; środkowy pasek ozdobiony krzyżykami kolorowemi jest wyszyty niémi koronkowemi Nr. 50; rycina 3 załącza trochę w zmniejszeniu jeden ząbek ze szlaku otaczającego serwetkę. Mocna koronkowa tasiemeczka 2 cent. szeroka dana jest środkiem i z brzegów kwadratów. Rycina 4 przedstawia w czwartej części inny kwadracik, z kwiatami wyszytemi en relief bawełną niebieską, ponsową i żółtą; listki dwoma cieniami zielonemi.

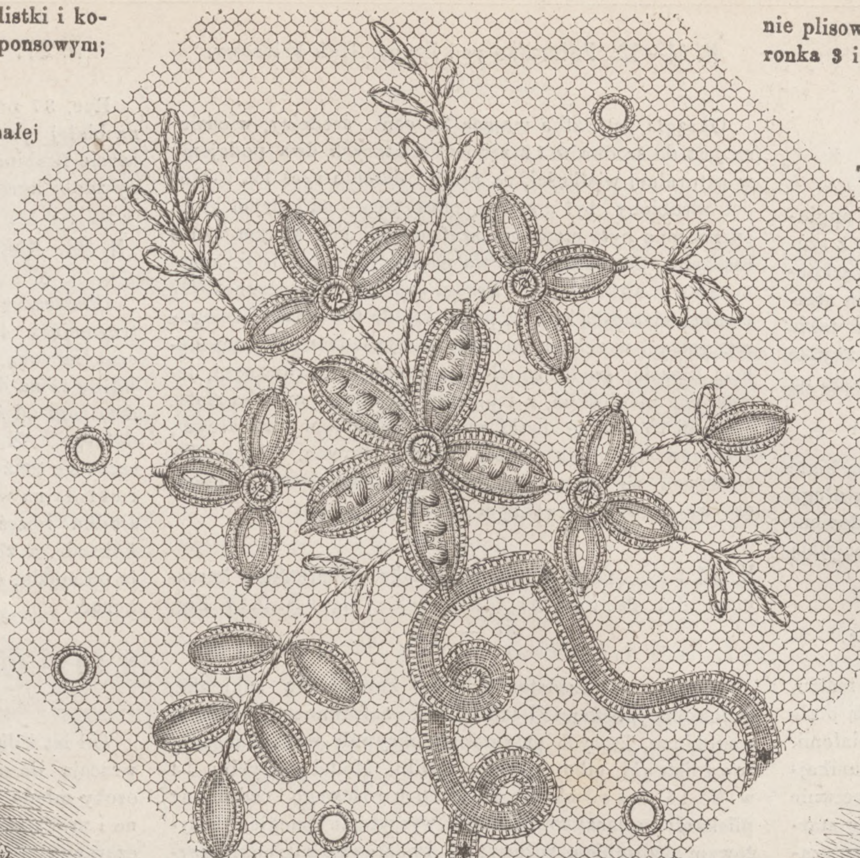
N. 6 i 16. Krawatka ze szlakiem wyszytym krzyżykami.

Czarna jedwabna krawatka ozdobiona jest szlakiem wyszytym kordonkiem ściegiem krzyżykowym; połowę d-

seniu załącza ryc. 16; kwiatki są kolorowe a listki i korzonki zielone, szlaczek prosty dany jedwabiem ponsowym; frendzla szeroka jedwabna.

N. 9 — 10 i 48. Sukienka princesse dla małej dziewczynki.

Odrobiona jest z popielatej jedwabnej grenadyny; falbana dopełniająca długość pleców jest 17 centym. szeroka i ułożona



N. 6. Gałązka do ryc. 5. Koronka irlandzka na tiulu.



N. 3. Kapelusz wiosenny przybrany koronką. Patrz r. 4.

kontrafałdy, z nagłówkiem 2 cent. szerokim, podszytym kolorową materyą. Przybranie sukienki stanowią pliski 1 i pół centym. szerokie, z pod których wysuwają się falbaneczki z materyi 1 cent. szerokie, wysiepane brzegiem, układane w kontrafałdki, z drugiej strony pliski i wypustka jedwabna. Na rycina 10 podaliśmy w naturalnej wielkości garnirunek do sukienki ryc. 9, ozdobiony wypustką niebieską i pukielkami z niebieskiej wstążeczki.

N. 11. Chusteczka negliżowa z koronek.

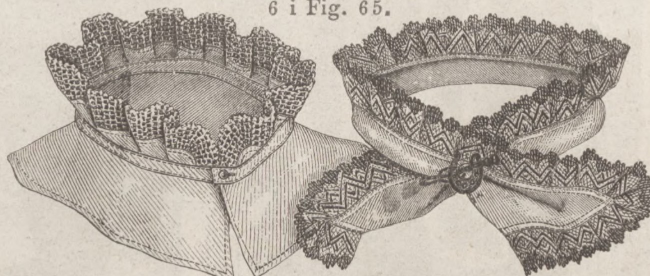
Odpowiednia do strojnego negliżowego ubrania, składa się z części muślinowej zastępującej kołnierzyk i z końcy spiętych w kokardę po 46 cent. długich a 4 i pół szerokich, zakończonych poprzecz-



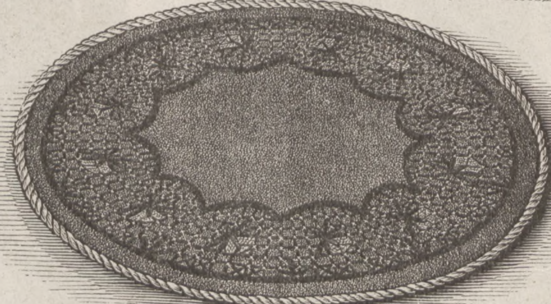
N. 9. Płaszczyk z pelerynką. Krój i opis na arkuszu N. XII, Fig 30—33a.



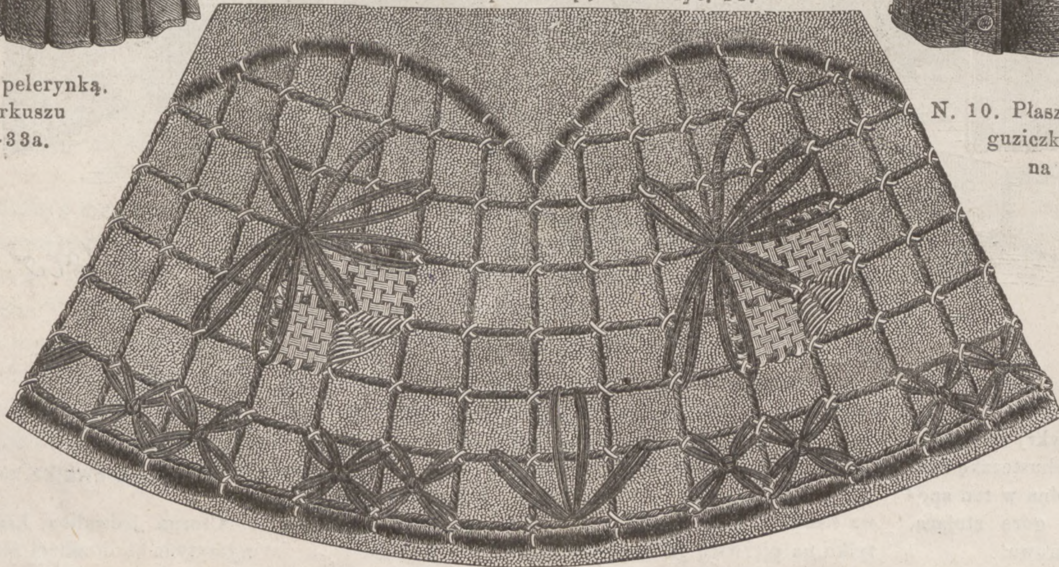
N. 5. Koronka irlandzka wyszyta na tiulu. Patrz rycina 6 i Fig. 65.



N. 7. Kołnierzyk negliżowy z koronką szydełkową. Patrz ryc. 12 w N-rze 16. N. 8. Kołnierzyk negliżowy ułożony z chusteczki.



N. 11. Patarafka pod lampę. Patrz ryc. 12.



N. 12. Część szlaku do patarafki ryc. 11.



N. 13. Wyszycie ząbka na siatce gipiurowej rycina 2 w N-rze 15.

nie plisowaniem, do oszycia chusteczki i końcy służy koronka 3 i pół cent. szeroka.

N. 15 i 37. Torebka na bieliznę.

Torebka do umieszczenia bielizny nocnej liczy 78 cent. długości, 44 szerokości, z wykładem 18 cent. szerokim, ozdobiona szlakiem krzyżykowym i koronką nicianą 4 centymetry szeroką.



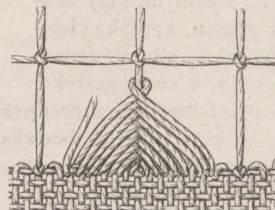
N. 4. Kapelusz wiosenny przybrany koronką. Patrz r. 3.

N. 17—19. Negliżyk z kokardą z boku.

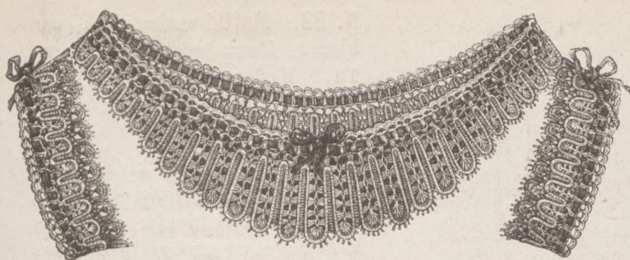
Podstawę czepeczka stanowi pasek sztywnego tiulu 3 cent. szeroki, 46 centym. długi, zszyty w kółko, założony z tyłu w dwie fałdy, do którego przyszyte denko muślinowe 24 cent. średnicy mające i dwa rzędy plisowania z koronki bretońskiej, wywodzonej na tiulu. Na tej podstawie upięty jest czepeczek z kwadratowej muślinowej chusteczki, oszytej koronką plisowaną, 43 cent. długiej; róg chusteczki zwrócony do przodu zaokrąglony jest na 7 cent. Od tego rogu do przeciwległego chusteczka złożona jest w drobne, ściśle zebrane fałdki i przytwierdzona na środku denka; końce chusteczki odrzucane są w fałdy wachlarzowe, przyczepiane gdzie niegdzie niewidocznie, podług ryciny 18. Suta kokarda z atłasowej wstążki 5

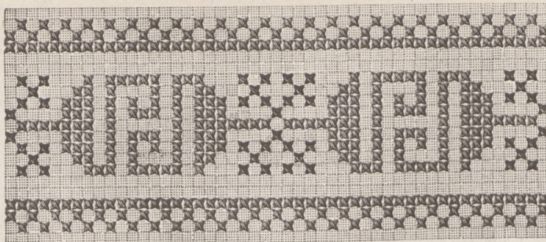


N. 10. Płaszczyk ozdobiony guziczkami. Krój i opis na ark. Nr. XXI, Fig. 62.



N. 14. Wyszycie ząbka na siatce gipiurowej ryinà 2 w N. 15.


N. 16. Karczek i rękawki robotą szydełkową. Patrz rycina 17.

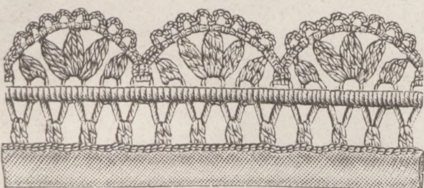

N. 15. Szlaczek do nocnej koszuli ryc. 26.

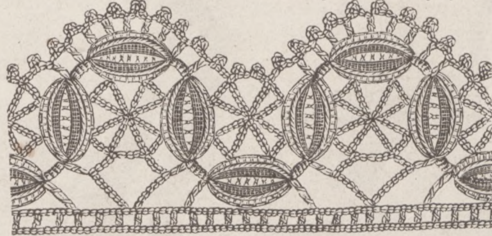

N. 18. Karczek i rękawki do koszuli. Robota szydełkowa podług ryc. 19.

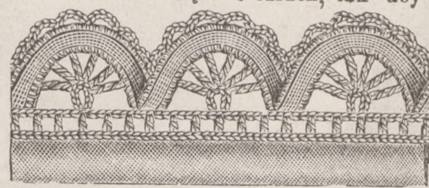
centymetrów szerokiej przypina się z jednego boku podług ryciny 17.

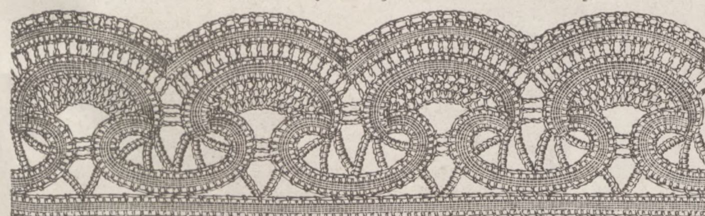
N. 19—20. Negliżyk z atłasowemi kokardami.

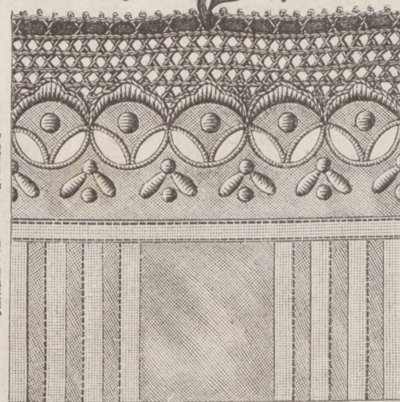
Podstawę przygotowywa się taką samą jak do czepeczka ryc. 17, brzegiem której dane plisowanie 3 cent. szerokie i takaż wstążka atłasowa niebieska. Z przodu nad czołem dana kokarda z czterech pukli po 10 cent. długich i dwa końce po 12 cent. długie. Denko stanowi owalny kawałek muślinu, spięty w końcach śpiczasto, 38 cent. długi a 22 szeroki, oszyty plisowaną koronką, z boków odwinięty w wachlarzowe fałdy, z tyłu spięty kokardą podług ryc. 20.


N. 21. Ząbki szydełkowe z torsadką.

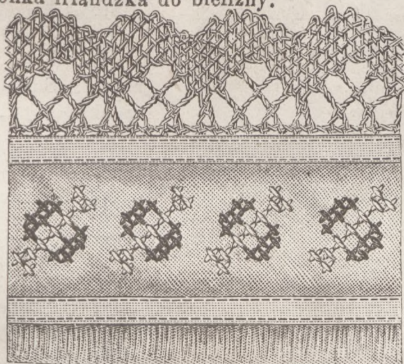

N. 20. Ząbki z medaljonowej tasiemki obrobionej szydełkiem.


N. 22. Ząbki szydełkowe z tasiemką.

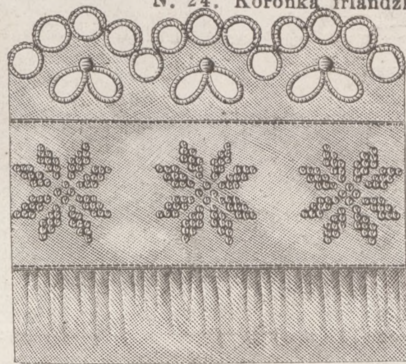

N. 23. Koronka irlandzka do bielizny.


N. 26. Garnirunek do koszuli ryc. 25 w N. 15.


N. 24. Koronka irlandzka do bielizny.

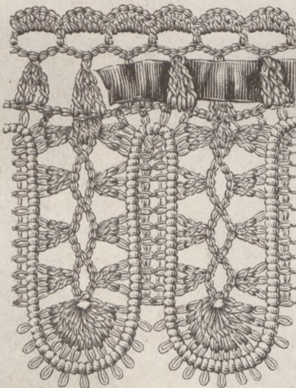

N. 27. Oszycie do koszuli ryc. 23 w N. 15.

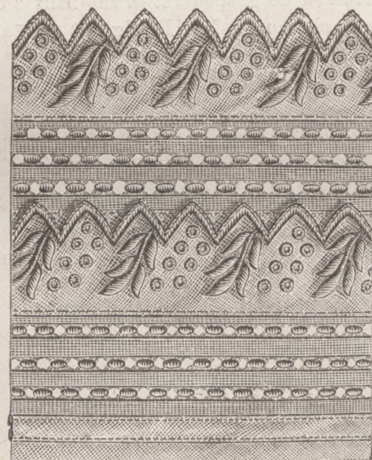

N. 25. Ząbki szydełkowe z torsadką.

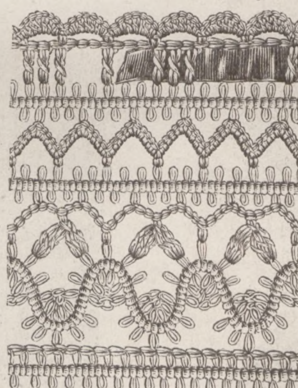

N. 28. Oszycie do koszuli ryc. 23 w N-rze 15.

N. 21. Kołnierz szeroki wykładany. Krój na arkuszu Nr. XIX, Fig. 60.

Kraje się z cienkiego płótna podług Fig. 60, na podszewce z szyrtyngu, wszywa w pasek 1 cent. szeroki, dwa razy przestębnowany kolorową nitką i ozdabia na rogach wyszyciem krzyżykowem.


N. 17. Część roboty szydełkowej do ryc. 16.


N. 29. Część karczka do koszuli ryc. 22 w N. 15.


N. 19. Część roboty szydełkowej do ryc. 18.

N. 22. Koszula dzienna z gorsecikowem karczkiem. Patrz rycina 29 w N. 14. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 11--13.

Długość stanu (Fig. 11) od wykroju pachy wynosi 87 c. dolna szerokość 98 cnt.; głęboki wykrój w przedniej połowie stanu dopełniony gorsecikowem karczkiem przykrojonym podług Fig. 12 i ramiączkami Fig. 13. Brzeg stanu od krzyżyka do punktu zakłada się w 8 fałdek, tak aby pasował gładko do karczka od U do V a do ramiączek od V do W. Rycina 29 w N. 14 załącza w naturalnej wielkości część karczka; ramiączka oszyte hafcikiem i pliską batystową dane są z paska batystowego zaszytego w drobniutkie zakładeczki. Tylna połowa stanu marszczy się od środka do dwukropka na 40 cent. i wszywa w prosty pasek 57 cent. długi, złożony z wszywki przystębnowanej dwoma pliseczkami; zapięcie urządzone na ramionach; wykrój pachy oszyty wszywką i ząbkami.

N. 23. Koszula zapinana na ramionach. Patrz ryc. 27 i 28 w N. 14. Krój na ark. Nr. II, Fig. 5—8.

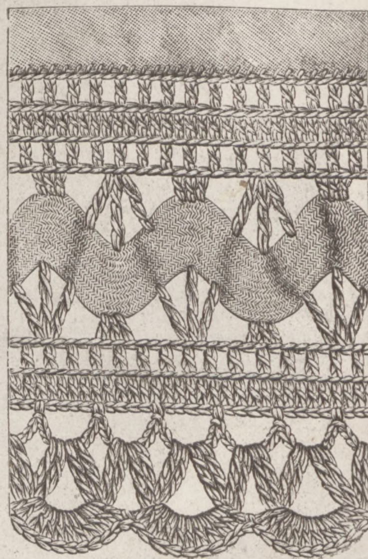
Przykrojona z cienkiego płótna podług Fig. 5 — 8 liczy od wykroju pachy 91 cent. długości a 98 cent. szerokości dolnej w połowie. Karczek i rękawki są w jednym ciągu ozdobione haftem lub koronką podług ryciny 27—28 w N-rze 14.


N. 30. Oszycie do majtek ryc. 30 w N-rze 15.


N. 32. Szlak wyszyty na tiulu do majtek ryc. 29 i 30.

N. 24. Koszula dzienna ze szmizetkowem przybraniem. Krój na arkuszu Nr. V, Fig. 14--15.

Elegancka koszula odszyta z cienkiego batystu liczy 96 cent. długości a 100 szerokości w połowie; głęboki wykrój dopełniony szmizetkowym karczkiem z koro-


N. 31. Oszycie do majtek.

nek nicianych. Wszywka 3 centym. szeroka stanowi karczek wskazany na Fig. 15, oszyty gładko koronką 3 i pół cent. szeroką, powleczoną kolorową wstążką 1 centym. szeroką; na przyszyciu koronki dana wąziutka plecioneczka.



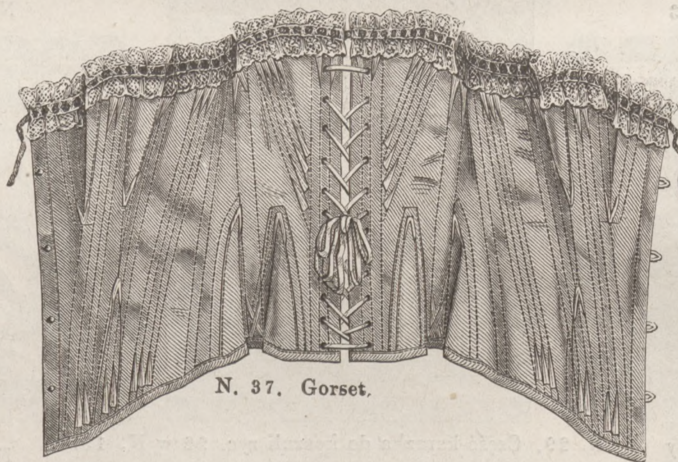
N. 33. Ubranie dla chłopczyka lat 2—3. Krój bluzy na ark. N. XV, Fig. 44—48.

N. 25. Koszula z karczkiem prosto ściętym z przodu. Patrz ryc. 26 w N-rze 14. Krój na arkuszu Nr. III, Fig. 9—10.

U koszuli tej rękawy kraje się w jednym ciągu ze stanem, którego każda połowa liczy 95 cnt. długości a 99 szerokości dolnej. Wykrój z tyłu zachodzący dość wysoko z przodu głębiej wycięty i dopełniony karczkiem Fig. 10, złożonym z haftowanej wszywki, przybrany jest na około hafcikiem i koronką, jak na ryc. 26 w N-rze 14; brzegiem koroneczki nawleczony ponsowy sutasz do ściągania.



N. 35—36. Fartuszek do gospodarstwa zapinany z boku. Krój i opis na arkuszu N. XVII, Fig. 52—57a.



N. 37. Gorset.



Nr. 38. Żabot upięty z chusteczki.

N. 29. Majtki z okrągłym paskiem. Patrz ryc. 32 w N-rze 14. Krój na arkuszu Nr. VI, Fig. 16—17a.

Dziesięć drobniutkich zakładek i 4 cent. szeroki haft stanowi przyozdobienie; iune zakończenie na grubym grosbotowym tiulu wyszytym sześcio drutową bawełną wskazaliśmy na r. 32 w N. 14.



N. 34. Sukieneczka dla dziewczynki lat 2—3. Krój na ark. N. XIV, Fig. 40—43.

N. 30 i 41. Majtki z okrągłym paskiem. Krój na ark. Nr. VII Fig. 18.

Dolny brzeg może być nadmarszczony i wszyty w pasek jak na ryc. 41 lub ozdobiony szlakiem jak na ryc. 32.

(*d. n*).



N. 39. Ubranie wizytowe ze stanikiem kaftanikowym. Patrz ryc. 40. Krój na ark. N. XX, Fig. 61.



N. 40. Ubranie wizytowe ze stanikiem kaftanikowym. Patrz ryc. 40.